

KRZYSZTOF POGORZELEC

SZWINDEL- OBYWATELE



Zakrywają twarze, odwracają przed aparatem fotograficznym głowy. To dziś. Wczoraj — ósk. Tarnawa lubił się chęplić. — Ta „paczuszka” to na drobne wydatki — twierdził pokazując plik pięćsetek

Motto, wbrew pozorom, wcale nie biblijne: „Rzekł Pan: Po słodme — nie kradnij”. I zaraz poszedł urządzać czyściec...

Wersje są krąco sprzeczne. Według jednych początek końca nastąpił któregoś lipcowego dnia 1960 roku na 130 kilometrów szosy wodącej z Warszawy do Katowic:

— Widzi pan, kierowca też człowiek. Był zmęczony, całą noc prowadził ciężarówkę. Zle obliczył i:

Najpierw brzęk spadających blaszanych baniek, dysk opon i strugi ciekącego do rowu mleka. Babina chciała pertraktować.

— Dacie panowie pięćsetkę i będę kontenta, co będziemy się kramarzyć po komisarzatach...

Sklepił ją. Nadjechał patrol „drogowej”. Zatrzymał do skrzyżnia „Stara”, przy okazji. Była wina. Koniec.

Drugi wariant jest utrzymany w stylu Zorro:

Noc. W milicyjnym radiowozie cztery pary ludzkich oczu raz wpijają się w ciemność drogi a raz zerkają na

tachometr. 70... 80... 95 kilometrów! A jednak odległość od rubinowych światełek nie maleje! Jeden, drugi zakręci i niespodziewanie przy drodze stoi pusta „Warszawa”. To jego! Gdzie? W górę błysnął płomyk. W kamieniołomach? Pali kompromitujące dokumenty i notatki?

Ogień zamienił papier w zwęgloną bibulkę. Oficer stłumił przekleństwo.

— Nie wam to nie pomoże, Tarnawa. W imieniu prawa...

Więc — jest ich osiemnastu ludzi i kilkadziesiąt lub sto i ileś tam milionów złotych. Tutaj słowo: prokuratorowi i władzom śledczym udało się precyzyjnie ustalić skład osobowy ekipy, która zasiadła na ławach oskarżonych w katowickim sądzie. Natomiast eksperci nie są zgodni i bezradnie rozkładają ręce: — mogli na tym zarobić kilkadziesiąt milionów, może nawet sto lub... więcej! Wiadomo, że ukradli: Ludwik Brański — główny te-

chnolog wykończalni Zjednoczenia Przemysłu Welnianego-Południe w Bielsku Białym; Kazimierz Kiljan — prezes spółdzielni CPLiA „Tkanina Artystyczna” w Warszawie, Albin Skoczylas — kierownik przedziału ZPW im. Rychnińskiego w Bielsku. Akt oskarżenia zarzuca im, że przywłaszczyli sobie na pewno 4 tony 280 kg wełny należącej do ZPW im. Rychnińskiego w Bielsku oraz Spółdzielni „Tkanina Artystyczna”. Pomogli im w tym Bronisław Durezak, Adam Ojzyński, Piotr Zontka, Władysław Fortuna, Józef Tarnawa. Do kieszeni tego „zespołu” trafiło — znowu na pewno — 2.297 tys. zł.

„Tego zespołu”, gdyż był jeszcze drugi chociaż i tutaj pewne nazwiska powtarzają się niezmiennie. Więc — Eugeniusz Krzystanek, Barbara Rogulska, Stanisław Gajewski, Józef Tarnawa, Mieczysław Opalko, Józef Laszczak, Wilhelm Krzepak, Janusz Grygierowski, Krystyna Fic, Stanisław Gwiazda. Oskarżenie twierdzi, że ukradli 2.284 kg niedoprzedu welnianego importowanego z Anglii wartości 1.295 tys. zł. Głównymi filarami tej sitwy byli referent sprzedaży Centrali Importowej Przemysłu Włókienniczego „Textilimport” — w Łodzi — Mieczysław Opalko i starszy inspektor działu surowców Zjednoczenia Przemysłu Welnianego — Północ w Łodzi — mgr Eugeniusz Krzystanek.

ANATOMIA PRZESTĘPSTWA

Nie tylko z reporterskiego obowiązku odnotowuje technikę, którą posługiwał się welniany gang nim prokurator powiedział — OSKARZAM!

Dalszy ciąg
na str. 5

Piękne wille, urządzone luksusowo mieszkaniami. — To jest mój teściu. — twierdzi jeden z nich. Jak wiadomo... emeryci są u nas milionerami...

MARIAN PIECHAL

RĘCE KOBIET

Ręce konieczne wszystkiemu co się rodzi
ręce niezbędne wszystkiemu co odchodzi
ręce niezastąpione ręce zawsze przytomne
ręce zawsze te same zawsze wierne sobie
zawsze będące tarczą nigdy pięścią
glaszczące oceany i grzywy centaurów
skierowane zawsze ku właściwej sprawie
ręce pięcioboje o szczęście każdego dnia
jedynie sprawiedliwe miary i wagi
ręce z marzenia ręce rzeźbione ze snu
według wzoru najczulszej wyobraźni
dźwignie największego ciężaru serca próżni
odejmujące z twarzy łzy dojrzałe nasiona wzruszeń
ręce znajdujące igłę w stogu siana
ręce o zapachu żywicy i lubinu
o smaku morwy i razowej skórki chleba
o wgłębieniach dłoni jak gniazdko piskląt
ogniwa pokoleń skarbonki milczenia
dziesięciotonowe układy muzyczne
ruchome klawiatury pomnożone o nieskończoność
pełne tajemnic regulujące zegary galaktyk
różanopalce jutrzeńki kołwice na dnie rozpacz
niedostrzegalne planety w kosmicznym uczuciu systemie
w których skrypcie papilarnym nasze przeznaczenie
ręce drobne które w skutkach mają wymiar ziemi
życioczułe o instynkcie podziemnych korzeni
działające ślepo lecz trafnie i nieomylnie
przypadkowo lecz słusznie i zawsze rozumnie
ręce wszędzie obecne i dobroczynne jak tlen
świejące w ciemności ręce w których rad płonie
obracające glob ziemski wciąż ku słonecznej stronie.



ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

REGUŁA bez WYJĄTKÓW

Mamy więc w rozdyktowanych na tematy szkolne „Odgłosach” jeszcze jedną dyskusję o nauczycielstwie i młodości. Tym razem chodzi o postępowanie w metodach wychowania. Ten ważki temat nie spada z nieba. Muszę jednak zauważyć, że od pewnego czasu wszyscy żyjemy pod nieco przesadnym niekiedy wrażeniem postępu. Dowiedzieliśmy się bowiem z nauki historii, że przewroty umysłowe następowały z reguły po wielu odkryciach i wynalazkach. Po każdym współczesnym nam sukcesie naukowym czy gospodarczym gotowaliśmy tedy zadać na gwałt przewrót w wielu dziedzinach życia.

W tej psychicznej gotowości do postępu tkwią wartości zdecydowanie dodatnie. Zdecydowanie dodatnim zjawiskiem jest również to, że jak najwięcej postępowych zmian chcemy widzieć w naszym szkolnictwie. Czy zawsze jednak nasze poczynania trafiają na odpowiednio przygotowany grunt, czy nie kończą się niekiedy na hurapostępie?

WYCISKANIE CYTRYNY

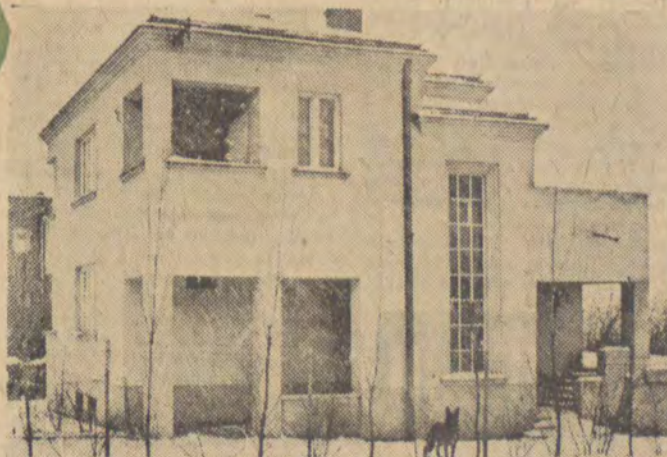
W roku ubiegłym narobiło wiele wrzawy wokół polityzacji nauczania. Bo atom, bo sputnik, bo Gagarin! W wielu szkołach skończyło się wszakże na powyszczerbanych pilnikach i poobijanych młotkach. Oczywiście, wielu nauczycieli staje na głowie, aby polityzację postawić na nogi, ale z pustego i Salomon... Optymizm p. Sulibskiej („Odgłosy” nr 9) choć piękny i wzruszający, wydaje mi się nieco przesadzony.

W jednym z liceów ogólnokształcących podczas podsumowywania wizytacji pewien nauczyciel wystąpił z wnioskiem o zorganizowanie przy szkole świetlicy, w której uczniowie mogliby odrabiać lekcje. Nauczyciel ten odwiedził

domy uczniów — „dwójkarzy” i stwierdził, że wielu z nich mieszka w tak zageszczonej izbach, iż lekcje odrabiają przy stole na zmiany, dzieląc prawo do korzystania ze stołu z rozlicznym rodzeństwem. Władze wizytujące owo liceum pochwaliły wniosek nauczyciela, ale zastrzegły, że kuratorium nie może dać ani złotówki na ową świetlicę. W zaleceniach powizytacyjnych podkreślili jednak, że nauczyciele powinni rozstrzygnąć, jak najdalej posuniętą opiekę nad uczniami alabami i wszelkimi sposobami dążyć do maksymalnego zmniejszenia ilości ocen niedostatecznych.

Już te dwa przykłady wystarczy, aby stwierdzić, że wiele zmian, jakich chcemy dokonać w szkolnictwie, polega właściwie na permanentnym wzroście wymagań i obowiązków, stawianych nauczycielstwu. Innymi słowy, chcielibyśmy zyskiwać coraz to nowe i maksymalne korzyści przy ciągłej tych samych kosztach inwestycyjnych i to kosztach dość szczupłych. Szczupłość nie oznacza w tym wypadku wysokości zarobków nauczycielskich. Nauczyciele dali się już przekonać, że są w Polsce ludzie, którzy zarabiają mniej niż oni. Chodzi o to, że oświata nasza ciągle wiśnie w pańskiej klamce, czego dowodem niech będą zakłady opiekuńcze, zasilające od czasu do czasu z łaski na uciesze zastrzykami finansowymi podopieczne szkoły. W takich warunkach większość postępowych zmian dokonuje się w sferze emocji i w publicystyce.

Dalszy ciąg
na str. 7



WIELKI KONKURS na PAMIĘTNIKI MŁODZIEŻY!

Na Tysiąclecie Państwa Polskiego i na Dwudziestolecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej chcemy dać obraz nowego pokolenia wsi w Polsce, jego życia, prac, przemysłów i dążeń.

Zwracamy się do młodych córek i synów rolników, pracowników w gospodarstwie rodziców bądź już posiadających własne rodziny i gospodarujących samodzielnie, do młodzieży z PGR i spółdzielni produkcyjnych, do tych, którzy łączą pracę na roli z zajęciami w mieście lub zajęciami pozarolniczymi na wsi, do wiejskich chłopców odbywających służbę wojskową, do młodzieży z małych miasteczek i osad, do młodej inteligencji wiejskiej — agronomów, nauczycieli, lekarzy, pracowników umysłowych, wreszcie do tych młodych, którzy uczą się bądź pracują w mieście, lecz wyszli ze wsi i są nadal z wsią i jej sprawami związani.

Szczególnie zależy nam na pamiętnikach pisanych przez młodych w wieku 16-35 lat.

Oto niektóre sprawy zasługujące na uwzględnienie i szerzej rozwinięcie w pamiętniku: informacje o miejscowości rodzinnej, sytuacji materialnej rodziców, rodzeństwa i krewnych, problemy i konflikty przeżywane w okresie szkolnym i późniejszym, droga do zawodu i praca zawodowa, własny ideał życia rodzinnego, pogląd na rolę kobiety w gospodarstwie rolnym i w rodzinie oraz w życiu społecznym i kulturalnym wsi, udział w zbiorowym życiu wsi i sprawy światopoglądowe, przemiany w dziedzinie społecznej, gospodarczej i kulturalnej jakie nastąpiły na wsi, pogląd na sprawę przyszłości wsi i rolnictwa w Polsce oraz perspektywy dla młodego pokolenia.

Dla oceny nadesłanych pamiętników powołany zostanie sąd konkursowy, który przyzna nagrody, wyróżnienia i upominki o łącznej wartości ponad 120 tysięcy złotych — w tym:

I nagrodę w wysokości 20 tys. zł,
dwie II nagrody w wysokości — 10 tys. zł każda,
cztery III nagrody w wysokości — 5 tys. zł każda,
dziesięć IV nagród w wysokości — 2 tys. zł każda,
dwadzieścia V nagród w wysokości — 1 tys. zł każda,
oraz 100 wyróżnień książkowych.

Oprócz tego pomiędzy uczestników konkursu rozlosowane zostaną cenne nagrody rzeczowe:

motocykl, telewizor, pralka, rower, aparat fotograficzny i radiowy oraz adapter i zegarki.

Niezależnie od nagród konkursowych, autorzy pamiętników drukowanych otrzymają normalne honoraria autorskie. Organizatorzy konkursu gwarantują wszystkim autorom pamiętników całkowitą dyskrecję i anonimowość.

Ostateczny termin nadsyłania pamiętników upływa z dniem 30 kwietnia 1962 roku.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi do dnia 1 grudnia 1962 roku.

Prace konkursowe — napisane możliwie czytelnie, podpisane i zaopatrzone w dołączony adres nadawcy należy nadsyłać pod adresem: Związek Młodzieży Wiejskiej, Warszawa, ul. Smolna 46 z napisem na kopercie „Konkurs na pamiętniki”.

ZWIĄZEK MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ, KOMITET BADAŃ NAD KULTURĄ WSPÓŁCZESNĄ PAN, ZAKŁAD SOCJOLOGII WSI PAN, LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA.

Uwaga, Czytelnicy „Odgłosów”!
Od przyszłego numeru wprowadzamy na łamy naszego pisma stały
KĄCIK NOWOCZESNEGO NAUCZANIA JĘZYKÓW OBCYCH

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. dr. STEFANEM

H R A B C E M

kier. Katedry i Zakładu Języka
Polskiego prorektorem do spraw
nauczania Uł

o:
subtelnościach poprawnej polszczyzny

— Jakże są główne kierunki badań naukowych Katedry i Zakładu?

— Interesuje nas przede wszystkim historia języka polskiego i onomastyka tj. nauka o nazwach geograficznych i imionach. Poza tym leksykografia pod względem teoretycznym i praktycznym.

— A z historii języka?

— Język autorów. Przygotowujemy właśnie prace o języku Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, jednego z pisarzy XVII wieku. Moją zaś osobistą pasją jest polszczyzna kresowa i jej wpływ na poezję polską w ogóle.

— Jakże są szczegóły tej pasji?

— Napisałem pracę o elementach kresowych w języku pisarzy XVI i XVII wieku oraz prowadzę badania nad językiem Słowackiego, którego cała twórczość jest bardzo przesiąknięta elementami kresowymi. W „Beniowskim” np. słowa takie jak „konwulsji” czy „ekspulsji” rymuje on ze słowem „czulsji”, dokładnie według reguł fonetyki kresowej, która końcówkę „si” w słowie „czulsji” zamienia na „sji”. Takich przykładów mamy mnóstwo, podobnie jak i w poezji Mickiewicza.

— Czy to prawda, że w edycji dzieł Mickiewicza dopuszczono się bardzo dowolnych adiustacji?

— W artykule przygotowanym w Roku Mickiewiczowskim na sesję naukową PAN wskazywałem na różnice zachodzące między drukowaną postacią twórczości Mickiewicza a jego rękopisami. Rękopisy te pełne są różnego rodzaju prowincjonalizmów, z których wydawca oczyszczał następnie wiersze poety.

— Była to więc adiustacja potrzebna. Czy nie uważa jednak Pan Profesor, że należałoby wprowadzić ochronę dzieł wielkich pisarzy przed niewłaściwymi zmianami ich tekstów w toku adiustacji wydawniczych? Były przecież wypadki bardzo niefortunnych edycji.

— Tak. Np. przed wojną Ossolineum przygotowało się

do wydania dzieł Sienkiewicza zaangażowało na tzw. dziś „lit-redaktora” pewnego emerytowanego wizytatora szkolnego. Ten zabrał się do roboty z taką pedanterią, że poprawiał nie tylko pisownię, ale i język Sienkiewicza. W swej pracy nad rękopisami Mickiewicza natrafiłem również na kilka podobnych choć mniej drastycznych przykładów.

— Wśród pisarzy istnieje organiczny niemal strach przed ółwkiem adiustatora. I chyba w dużej mierze uzasadniony. Co to bowiem znaczy adiustacja? Czy nie prowadzi ona nie rzadko do oczyszczenia dzieła z prowincjonalizmów wszelkiego rodzaju? A przecież przy pomocy takich właśnie elementów gwarowych czy środowiskowych niezmierznie wzbogacamy nasz język...

— Słusznie. Umiejętne sięganie do gwary ludowej i odpowiednio adaptowanie tych innowacji jest znanym środkiem odświeżania mowy.

— Spotyka się jednak przykłady owych środowiskowych neologizmów wcale nie zachwycające. Takie np. wyrazy jak „chata”, „szkło”, „ubaw”, „wybył” nie tylko nie wzbogacają, ale wręcz zaśmiecają nasz język.

— Sama „chata” nie jest brzydkim wyrazem. Raczej jego zastosowanie czyni zeń wulgaryzm.

— A te różne „ubawy” itp. wyrażenia?

— Są żargonem ludzi o bardzo ubogim języku. Należy je zwalczać, zwłaszcza jeśli stosowane są nie z przymuszeniem oka ale całkiem na serio.

— Nie chciałabym, Panie Profesorze, aby moje pytania zrozumiane zostały jako atak na elementy nowe, postępowe w języku. Uważam, że język należy wzbogacać o nowe wyrazy, które zresztą tworzą się pod wpływem nowych warunków i innych przemian. Przecież nie tak stosunkowo dawno, słowo tak dziś normalne jak „pomnik” wzbudzało dyskusję...

— Tak. Po raz pierwszy słowo tego użył znany „twórca” językowy z końca XVIII i po-

czątku XIX w., Jacek Przybyski; jemu zawdzięcza również i „wszechnica” prawo obywatelstwa w naszym słownictwie. Proszę jednak pamiętać, że o poprawności językowej decydują nie gramatycy, lecz przede wszystkim powszechność użycia.

— Jak więc należy się bronić przed niewłaściwościami użycia różnego rodzaju wulgaryzmów, od których aż roi się język przeciętnego mieszkańca dużych miast?

— Do sterowania ową poprawnością powołana została Komisja Kultury Języka Polskiego PAN.

— Mówiliśmy dotychczas o historii języka. Czy można prosić Pana Profesora o kilka słów na temat onomastyki i leksykografii?

— Zaczniemy od słownikarstwa. W Polsce opracowuje się słownik Mickiewicza, którego jestem jednym z głównych redaktorów. Będzie on zawierał wszystkie używane przez poetę wyrazy w całej jego twórczości. Druga impreza słownikarska to słownictwo



XVI wieku. Ten słownik opracowują aż cztery uniwersytety w Polsce.

— A jaki jest dorobek Katedry w zakresie onomastyki czyli badania nazw geograficznych i osobowych danego terenu?

— Ostatnią pracą mojej Katedry w tej dziedzinie są badania nazewnictwa województwa łódzkiego. Dotychczas zweryfikowano i opracowano ok. 40 tysięcy nazw.

— Czy z badań tych można wnioskować o charakterystycznych cechach słownictwa okręgu łódzkiego?

— Tylko do pewnego stopnia. Nazewnictwo naszego regionu w minimalnym stopniu (z wyjątkiem samej Łodzi) uległo wpływowi obcym i wskutek tego jest bardzo słowiańskie.

— O ile mi wiadomo kierowane przez Pana Profesora Katedra i Zakład mają niemałe zasługi w dziedzinie działalności usługowej. Mam na myśli Poradnię Poprawnej Polszczyzny przy Łódzkim Domu Kultury, w której prowadzi Pan wraz ze swymi współpracownikami stałe konsultacje. Z jakimi problemami językowymi stykacie się przy tej okazji?

— Na ogół z mało ciekawymi. Ludzie pytają zazwyczaj o sprawy bardzo proste. Np.

jak należy mówić: swetr czy sweter itp. Zdarzają się co prawda ludzie interesujący się bardziej ciekawymi problemami, są to jednak przypadki sporadyczne. Mimo to uważamy, że poradnia językowa jest w Łodzi bardzo potrzebna i że dobrze spełnia swoje zadania.

— Czy zdarzyło się Panu Profesorowi zetknąć z tak powszechnie używanymi określeniami jak „na fabryce”, czy „na terenie zakładu”? Jaki jest Pana pogląd na te okropnie brzmiące wulgaryzmy?

— Według prof. dr. Doroszewskiego, członka tejże właśnie Komisji Kultury Języka Polskiego PAN, o której już wspominaliśmy, są to formy dopuszczalne. W swoim uzupełnieniu Słownika Szobera pisze on: „przyimek „na” z miejscownikiem tworzy wyrażenia przyimkowe określające położenie w przestrzeni, wskazuje na powierzchnię przedmiotu, np. na fabryce, na kopalni — to nie w budynku fabryki ani tylko pod ziemią, ale na terenie fabryki lub kopalni”. I dalej Doroszewski mówi: „Używanie wyrażenia „na dziennej”, „na powiatkach” (tendencja gwarowa) rozszerza się szczególnie w języku potocznym, mówionym. Mówi się więc: na grupie, na kole, na organizacji, na zarządzie (ten ostatni zwrot elipsy — inteligentni). Doroszewski dopuszcza więc w mowie potocznej tego rodzaju wyrażenia, z wyjątkiem „na zakładzie pracy” co jest już wyraźnym wulgaryzmem, bo ma być „w zakładzie pracy”.

— Jaki jest naukowy pogląd na język Tuwima — wychowanka naszego miasta?

— Język Tuwima jest mieszkanką wpływów łódzko-warszawskich. Świadczy o tym nie tylko poszczególne wyrażenia ale także i rymy pozostające pod bardzo silnym wpływem gwary obu tych miast. Tuwim rymuje więc słowa „przewinął” z „pępowiną” (w łódzkiej wymowie „przewinout” i „pępowinout”), „ślabą” z „półokrągłą” oparty o łódzką fonetykę, w której głoska „j” często zanika w wymowie. Spotykamy też i wpływy gwary warszawskiej. Np. rymowane słowa „proszkiem” z „trochę” (co świadczy o wymowie „troszkie”) itp.

— Czego życzyłby Pan Profesor łódzianom jako językoznawca i naukowy konsultant łódzkiej Poradni Poprawnej Polszczyzny?

— Lepszego opanowania prawideł ojczystej mowy oraz wzbogacenia języka. Na ogół bowiem język, jakim się posługujemy, jest bardzo ubogi a nieraz wręcz prymitywny. Takim językiem na pewno nie przekonamy naszego rozmówcy o prawdziwości naszych słów, choćby myśl, jaką zamierzamy wyrazić, była jak najbardziej słuszna.

Rozm. K. Wyrzykowska

W Łodzi to nie uchoodzi

Od OBERKA do TWISTA

Dzisiaj po południu przyszedł do nas pan Wieczorek na telewizję.

Właśnie tylko co skończyła się wesoła audycja: „Mówił raz dziad do obrazu” (dziad — Lech Pijanowski, obraz — dyr. Pianski) i rozpoczął się następny punkt programu, tym razem młodzieżowy — „Jak zabawa, to zabawa”!

Stefek, a nawet ta smarkula Helenka, przez cały czas oczu od ekranu oderwać nie mogli.

str 2 **odgłosy**

Myśmy tego entuzjazmu nie podzielali.

— Popatrz pan, co to za taniec ten rock and roll: jakiegoś przeciągania, odwracania się od siebie, odchodzą, znowu wracają. Eii!

— Pewnie, patrzeć nie można! Dawniej to ho, ho! Anieliu, pamiętasz? Fox-trott, shimmy, one-step. Albo choćby figurowy walczyk...

Stefek lypnął tylko lewym okiem w stronę Helenki i zrobił palcem kółko na czole.

— Pewnie! Koszyk! Para w lewo, para w prawo! En avant! Panie wybierają! Walczyk z panią z lewej rąki! Człowiek wiedział, że żyje!

— Tata, co to za balet dla ciemnych mas? To trzeba było wami aż tak dyrygować? Można pęknąć ze śmiechu!

Na to wtrąciła się Anielka: — Co ty, synu, wiesz! Byłam przecież na tej waszej ostatecznej zabawie. (Miałam dyżur w bufecie — wyjaśniła panu Wieczorkowi). Gdzie wam do naszych szkolnych zabaw! Dawniej każda zabawa zaczynała się polonezem. Wszyscy tańczyli. Dyrektorka,

który z profesorów lub rodziców w pierwszej parze. Ogólna prezentacja. Każdy chłopiec przedstawiał się panience...

— Mamo, daj spokój! A chochoł też był? Polonez to taniec? Chyba lunatyków albo manekinów!

— Tylko nie manekinów! — poderwał się pan Feliks. Anielka, pamiętasz u nas w budzie mazura? To był zaszczyt znaleźć się w tej czwórce lub ósemce najlepszych mazurzystów...

Chłopcy w białych rekawczkach, ciemne garnitury. Gracja, szyk, wdzięk, sala pięknie udekorowana...

Tu wtrącił się sąsiad Wieczorek.

— Co tam, panie Feliksie, mazur! Tego zaszczytu tylko najbardziej zawołani tancerze dostępowali. Ja tam nie miałem szczęścia. W holubcach zawsze kopaliśmy się w kostkę. Ale weź pan choćby zwyciężającego oberka. Co? Jakże tempo! Mury się trzęsły! Te przyklekania w locie, człowiek po takim oberku był mokry, jak myś.

— Ale wtedy chyba dziewczęta nie nosiły pantofelków na szpilkach? — wtrąciła Helenka.

Stefek ryknął szyderczym śmiechem: — No i to miało być takie ładne? „Mazowsze” w tanim wydaniu! Hop dziś, dziś! Wkoło Macieju. Panowie, bo skomnam! Lepiej opowiedz, jak tańczyliście tango lub charlestona. Tu się jakoś dogadamy.

— No tak, z charlestonem był istny szal. Na wszystkich pauzach, w każdym kącie towarzystwo wykręcało kikuty. A tango... Tak, tak — pamiętasz, Anielka? „Rio de Janeiro”, „Pragnę twoją być”, „Jak pantera...”, „Ostatnia niedziela” albo „Nasza jest noc”...

— No, u nas w szkole dyrektorka nie pozwoliła tanga tańczyć. W trosce o moralność. — Pamiętam, to nie była sympatyczna postać to twoja dyrektorka. Podobno dopiero po kilku latach, kiedy tanga nawet przedszkolaki tańczyły i ona ustąpiła, ale pilnie śledziła, by w tańcu para przetrzeblała przywołanego odstępu między sobą.

— No to, mamuściu, z tą moralnością nie musielo być zbyt idealnie — zauważył skwapliwie Stefek.

— Nie pozwalaj sobie za wiele! Na pewno było lepiej niż dziś. Teraz te dziewczęta takie jakieś rozwydrzone. Albo chłopczyśka: stanie na środku sali gromadzi takich typów, miny zbłązanych o przysłów, lapy w kieszeniach, nie zważają na to, że inni nie mają gdzie tańczyć, nie ustępują! A jak zapraszają do tańca! Golowam pogodzić się z tym, że dziewczyna przyszła bez matki, ale żeby tak, jak to widziałam, palcem skinąć, a ona już leci! Nie, to już chyba trochę nie na miejscu.

Myśle, że powinniście na te tematy w swoich organizacjach i szkołach rozmawiać! Dziewczoty też zachowują się za swobodnie: chodzą, kiedy chcą i dokąd chcą. W mojej szkole na takiej zabawie wokoło sali siedziały mamy, ciotki lub inne panie. W ich towarzystwie dziewczęta na wieżerek przychodziły i z nimi wracały do domów. A u was? O której wróciłeś z ostatniej zabawy?

— Przecież musiałem Zochę odprowadzić. A to już nie moja wina, że mieszka aż za Julianowem.

— Ale, wszystko jedno, nie zazdrościsz jak was tak te cioty w kółko obiadają i obrabialy, po kolei każdą parę, a zwłaszcza każdą dziewczynę. Makabra!

Tymczasem w telewizji demonstrowano z koleś twista.

— No i patrzcie panstwo! Co to ma być? Pokreślił ich na amen! Stawy ich bola czy brzuch? To ma być taniec?!

— Teraz nawet dziadek oknał się z drzemki i otworzył oczy: — Macie, dzieci, racie. To nie jest żaden taniec. Bo ja rozumiem: radio, pociągi elektryczne, no — odkurzacze, lodówki, pralki, telefony, telewizory, magnetofony — to nawet czasem praktyczne i pożyteczne rzeczy. To jest jakiś tam taniec, który służy człowiekowi. Ale to, co tu widzicie? Co tu piękne? Za mojej młodości... Ho, ho! Też się bawiono, też tańczono. Ale to były tańce, owszem! Taka pol-

ka-węgierka albo sztajerek! Co za życie, tempo! A znowu lansier, pas d'Espaque, walcoboston albo kontredans — gracja, płynność, elegancja, kultura — panie — towarzyska, że tak powiem. A ubiory! Panie w długich sukniach, wcięte w pasie, rekawiczki do łokci, psnowłowie we frakach. Takie tańce to sztuka, można powiedzieć. Niechby teraz tak spróbowali! — No co? Niechby spróbowali!

Na to Stefek: — A właściwie czego wy chcecie? Co mamy tańczyć? Tango argentyńskie i shimmy czy może lansjera i polkę-węgierkę? A może państwo pozwolą, że pozostaniemy każdy przy swoim? Dziadek przy kontredansach i pas d'Espaque a ojciec przy shimmy i walcach figurowych. Dobrze?

Mama, jak zwykle, pojednawczo: — No, już dobrze, dobrze. Nie sprzeczcacie się! Ale moglibyście chociaż przychodzić na zabawy przyzwyczajeni wymych, ogoleni i — jako tako ubrani.

ka-węgierka albo sztajerek! Co za życie, tempo! A znowu lansier, pas d'Espaque, walcoboston albo kontredans — gracja, płynność, elegancja, kultura — panie — towarzyska, że tak powiem. A ubiory! Panie w długich sukniach, wcięte w pasie, rekawiczki do łokci, psnowłowie we frakach. Takie tańce to sztuka, można powiedzieć. Niechby teraz tak spróbowali! — No co? Niechby spróbowali!

Na to Stefek: — A właściwie czego wy chcecie? Co mamy tańczyć? Tango argentyńskie i shimmy czy może lansjera i polkę-węgierkę? A może państwo pozwolą, że pozostaniemy każdy przy swoim? Dziadek przy kontredansach i pas d'Espaque a ojciec przy shimmy i walcach figurowych. Dobrze?

Mama, jak zwykle, pojednawczo: — No, już dobrze, dobrze. Nie sprzeczcacie się! Ale moglibyście chociaż przychodzić na zabawy przyzwyczajeni wymych, ogoleni i — jako tako ubrani.

Na to Stefek: — A właściwie czego wy chcecie? Co mamy tańczyć? Tango argentyńskie i shimmy czy może lansjera i polkę-węgierkę? A może państwo pozwolą, że pozostaniemy każdy przy swoim? Dziadek przy kontredansach i pas d'Espaque a ojciec przy shimmy i walcach figurowych. Dobrze?

Mama, jak zwykle, pojednawczo: — No, już dobrze, dobrze. Nie sprzeczcacie się! Ale moglibyście chociaż przychodzić na zabawy przyzwyczajeni wymych, ogoleni i — jako tako ubrani.

Na to Stefek: — A właściwie czego wy chcecie? Co mamy tańczyć? Tango argentyńskie i shimmy czy może lansjera i polkę-węgierkę? A może państwo pozwolą, że pozostaniemy każdy przy swoim? Dziadek przy kontredansach i pas d'Espaque a ojciec przy shimmy i walcach figurowych. Dobrze?

Mama, jak zwykle, pojednawczo: — No, już dobrze, dobrze. Nie sprzeczcacie się! Ale moglibyście chociaż przychodzić na zabawy przyzwyczajeni wymych, ogoleni i — jako tako ubrani.

CZEKAJĄC na „TARPANA”

„Pragnęłam nakręcić zwykły film współczesny, bez wielkich pretensji tematycznych czy formalnych” powiedział Kazimierz Kutz w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Film”. Chodzi oczywiście o ostatnie dzieło tego obiecującego reżysera, o film „Tarpany”. Okazuje się jednak, że najtrudniej zrobić taki sobie przeciętny film przeznaczony dla zwykłych zjadaczy chleba. Polska, jak wiadomo, jest ową przez bogów wybraną krainą, w której arcydzieła rodzą się na kamieniu. Najciężej zaś przychodzi nam przeciętność. Arcydzieła są darem muz i owocem spontanicznego natchnienia. Natomiast dzieła normalne są na ogół rezultatem solidnej i starannej roboty, refleksji i znajomości rzeczy. Dlatego też autorami arcydzieł mogą być nawet (przynajmniej teoretycznie) analfabeci, ale taki sobie zwykły film klasy A czy B wymaga nie lada mistrza zaprawionego w swoim rzemiośle.

I tego właśnie ciągle nam brak. Brak nam owego niezawodnie działającego, opartego na doskonałej znajomości psychiki widza, wzorca dobrej i przejrzystej konstrukcji dramaturgicznej, wzorca popartego nienagannym warsztatem i wysokiej klasy aktorstwem. Brak nam tych wszystkich cech tak charakterystycznych dla kinematografii amerykańskiej czy francuskiej i gwarantujących im pewny sukces komercyjny i zainteresowanie widza. Nie potrafimy się zdobyć na dobrą i ładnie opakowaną galanterię filmową. Nasze filmy są albo arcydziełami (i wtedy wszystko im uchodzi), albo są niezrozumiałe, nudne i nieatrakcyjne (i wtedy są arcydziełami). Klasycznego wprost przykładu w tej materii dostarczą właśnie „Tarpany”.

Słabość tego filmu zaczyna się w nieporadnej warstwie scenariuszowej. Scenarzyści (M. Brandys, S. Kowalewski i K. Kutz) nie bardzo mogli zdecydować się na to, co „chcieli przez to powiedzieć” i nie bardzo potrafili powiedzieć to na co się już zdecydowali. W rezultacie powstała dziwna, nieco mieszanina różnorodnych gatunków, z których żaden nie wiedział co z sobą zrobić. Z mieszaniny tej tylko motywy komiczne i komediowe wyszły obronną ręką. Tak zwany dramat psychologiczny technicznie i banalnie. A banalność jego podkreśla jeszcze sztuczny aż do śmieszności (prawdopodobnie niezamierzony) dialog. Wątek melodramatyczny, wbrew świętym regułom gatunku, nikogo nie wzrusza, a wręcz przeciwnie przyprowadza widownię o nieposkromioną wesołość. Scenarzyści starannie wyeliminowali z filmu smak wielkiej przygody i dzikiej natury, jakie zdawał się przynajmniej zapowiadać tytuł. Pleneru jak na lekarstwo. Przez cały czas zapewniano nas wprawdzie dosyć natrętnie iż akcja toczy się na pełnym odludziu, ale widocznie nie ma już w Polsce zaścianka do którego nie dotarłyby eleganckie salony fryzjerskie i najnowsze kolekcje „Mody Polskiej”. Wygląd bohaterów „Tarpanów” świadczy o tym najlepiej.

W naszych filmach nie uchodzi jednak zwracać uwagę na podobne drobiazgi. Realia tworzące atmosferę, autentyczność, a co do tego? Pokazać, że w Pikutkowie źle się ubierają? A co by na to Paryż powiedział? Pozwolimy sobie pominąć szereg dalszych wątków, które scenarzyści szczerze posiali w swym filmie. Wróćmy do komedii. Mogła być z tego filmu znakomita komedia, utrzymana w tonie lekkiego i ironicznego pastiszu, najlepsza obok zabytkowego już dziś „Skarbu” polska komedia filmowa. Zabawny motyw niefortunnego zalotnika Basi przypomina jako żywo samego Rene Claira. Podobnie jak 3 gentlemanów reprezentujących Zarząd Samopomocy Chłopskiej (jedyna dobra partia dialogowa). Niestety trzech wspomnianych gentlemanów wplątani zostali niepotrzebnie i do „poważnej” części filmu, co oczywiście nie mogło im wyjść na dobre. Znakomita jest także w clairowskim stylu utrzymana para teściowa-maształarz. Pomieszczenie różnych gatunków i wątków, zakłóciło nie tylko jedność stylistyczną filmu, ale i jego równowagę dramaturgiczną oraz jasność. Szczególnie uciążliwym w tym tytułowy wątek tarpanów, potraktowany wybitnie po macoszemu z wyjątkiem sekwencji finałowej, kiedy to znużeni zapewne owocami własnej pracy scenarzyści, wprowadzili do akcji konia ex machina, który szybko i sprawnie rozwiązał wszystkie konflikty.

O ile „Tarpany” przeżyły jakoś tę końską kurację, zaśluga to przede wszystkim reżysera. Prawda, że Kutz „puścił” pewne partie filmu, ale prawda też, że dał nam znakomite momenty „prawdziwego kina”. Sekwencja w salonie, należy moim zdaniem do najlepszych w naszej kinematografii. W tej scenie kamera wbrew banałowi scenariusza i sztuczności dialogu, tworzy sama cały dramat, wydobywając napięcie sytuacji, złożoność stosunków łączących bohaterów, sięgając w ich przeżycia, tworząc atmosferę. Powstaje w ten sposób dramat prawdziwie filmowy, dramat pisany kamerą. Takich momentów jest w filmie więcej. Interesująca jest również stosowana przez Kutzę technika nierozgrywania do końca pewnych epizodów (np. konflikt Jędrka z listonoszem), tak znamienita dla współczesnego filmu. Nadaje to pewną dynamizm temu statycznemu filmowi, w którym ludzie błakają się bez wyraźnie określonego celu i zajęcia, oczekując na mitycznego rozdzielanie się stada. Ten beckettowski moment oczekiwania, nadziei i zwątpienia kryje jak należy przypuszczać, głębszy sens filmu, dający się sprowadzić do nieskomplikowanej dewizy, iż każdy musi mieć swego tarpana i wierzyć, że takowy kiedyś zdziczeje. My zaś, wierzymy, że tak dobry reżyser jak Kutz znajdzie wreszcie swojego tarpana czyli przyzwoitego scenariusza.



EWA OSTROWSKA

IV FESTIWAL FILMÓW SZKOLNYCH

Lódzka Szkoła Filmowa od dawna cieszy się wśród znawców zasłużoną renomą, uchodzi również za jedną z pierwszych tego typu uczelni w Europie. Dlatego zainteresowanie, jakie towarzyszyło czwartemu z kolei przeglądowi szkolnych etiud, jest w pełni uzasadnione. Jakże możliwości artystyczne prezentują prace przyszłej kadry polskiej kinematografii, i czy potwierdzą one dobre tradycje szkoły? Czego można się po nich spodziewać i czego należy wymagać?

Pierwszy dzień Festiwalu upłynął pod znakiem filmu obsesyjnego. Tak generalnie zaryzykowałabym określenie kierunku prób i artystycznych rozwiązań, zademonstrowanych przez sześć filmów fabularnych.

Dlaczego obsesja?

Charakteryzując lapidarnie — ponieważ wszystkie próby fabuły posiadały wspólne cechy: skłonność do przedstawiania sytuacji wysublimowanych. Innymi słowami: pokazane zostały sytuacje tak bardzo nietypowe, rozgrywane w sferze abstrakcyjnej groteski, makabrycznego żartu lub satyry, przesyczone symboliką filozoficznym uogólnieniem z porażką kałkowskiego świata. Że pojęcie obsesji wydaje się tu najlepszym terminem. Dotyczy to nawet jednego, realistycznie potraktowanego obrazu — „Historii niezbyt lirycznej” (reż. K. Szmagier, op. J. Mrożewski), opowiadającego „Historię życiową”. Oto dwóch młodych, zbłądzonych ludzi nudzi się w letnie południe, nudzi się tak silnie, że dla zabicia czasu postanawiają urządzić niewybredną kawał. Sedno cynicznego żartu ma polegać na wzajemnym „obrzydzeniu” do siebie dwojga kochających się platonicznie, z widzenia młodych: dziewczyny z balkonem i szolera z ciężarówką. Kawał się udaje, a jego autorzy nudzą się dalej. — To przecież ten sam rodzaj interpretacji, który zyskał dla siebie miano „hlasczynny”.

I inne filmy pozostają pod wyraźnym wpływem obsesji. Takimi są: „Parasol” reż. K. Zanussi, (op. A. Wasylewski)

słaby pod względem technicznym i treściowym; „Rozrywka” reż. M. Elstera (op. W. Leszczyński), której zaletą jest dowcipne spointowanie makabrycznego żartu (dziecko pociesza pechowego samobójcę, że następny hak „wytrzyma”). Do zdecydowanie obsesyjnych należą „Aż przyjdzie deszcz” reż. W. Solarza oraz „Portret mężczyzny z medalem” reż. W. Leszczyńskiego. Obydwa zasługują na szersze omówienie. Pierwszy jako przykład próby całkowicie nieudanej, drugi — jako jego przeciwieństwo.

„Aż przyjdzie deszcz” (reż. W. Solarz, op. R. Jastrzębski) zawiera propozycję filozoficznej wizji — mijania się dwojga ludzi (oczywiście młodych). Jest noc, pada deszcz, chłopak natarczywie wydzwaniał do nieznajomej telefonistki z międzymiastowej, aż do rana spaceruje warszawską ulicą — wszystko wydaje się mu nahlalne, obrzydliwe, rano dzięki wyjątkowemu przypadkowi spotyka swoją nieznajomą, idą oboje na plażę, zasypaną zmęczeni — ona pracą, on nostalgicznym poszukiwaniem i jednocześnie ucieczką przed swoją mocno tajemniczą obsesją, potem ona nagłe ni ślad, ni zowąd ucieka, on budzi się, szuka jej, spotyka inną dziewczynę, którą „podrywa” — teraz tamta pierwsza z kolei go szuka; odnajdują się dopiero wieczorem, ale już sobie nie ufają, i chłopak znowu idzie ulicą, i znowu wszystko jest dla niego obrzydliwe. — Tak by przedstawiało się prowizoryczne i niepełne usiłowanie streszczenia. Prezentacja zrealizowana opowieść, kapiąca aż od fałszywych uduwnień, prymitywnego eksperymentowania — jest nie do przyjęcia.

„Portret mężczyzny z medalem” W. Leszczyńskiego pochodzi z analogicznej co etiuda Solarza kategorii filmów. Jednak tu następuje odwrócenie proporcji: to, co było wadą u Solarza, u Leszczyńskiego jest zaletą. Leszczyński zakłada umowność sytuacji, nie stara się przekonać widza, że działają się tak naprawdę. Akcja jest tylko grą, imaginacją powstającą w wyobraźni boha-

tera. Ponadto „Portret” demonstrować równy i dojrzały „warsztat reżyserski”. dobry montaż i ciekawe zdjęcia A. Kostenki i M. Małysza. Ilustracja muzyczna Vivaldiego jest świetnym tłem dla spójnego poetyckiego ekspozycji filmu. Nic więc dziwnego, że właśnie ekspresyjny „Portret” uzyskał wyróżnienie na przeglądzie filmów studenckich w Vancouver (Kanada) i górował nad innymi pozycjami pierwszego dnia IV Festiwalu.

Etiudy dokumentalne posiadały bardziej wyrównany poziom. Najlepszą wydała się „Zajezdnia” reż. M. Marcinkiewicz, op. J. Mrożewski, relacjonująca nocny dyżur tramwajarzy. Zbyt monotonna w narracji, zbyt naiwna w ekscytacji: zadowolenie z pracy — uśmiech sprzątaczk, pogodny nastrój — biały kotek. Ciekawymi okazały się W. Mirczewa „Islandia”, i. Kamińskiego „Wyrok” (dobre zdjęcia J. Stachlewskiego). Na szczególną uwagę zasłużyła etiuda W. Kamińskiego „Pamięć”: wojna widziana oczyma dziecka. Całość została zmontowana w oryginalny sposób: na zasadzie zestawień rysunków dziecięcych z archiwalnymi zdjęciami kronik wojennych.

Również ciekawą w pomysłach i wykonaniu okazała się animacja „Trzej muzycanci” — A. Holendra i A. Ramlau.

Drugiego dnia festiwalowego przeglądu upłynął pod znakiem wielkiego zaskoczenia. Przedstawił już nie prówki, lecz wypracowane, dojrzałe formy filmowe. Dziesięć filmów — w tym trzy dokumenty — i wszystkie zdające wysoką klasę, i duże możliwości techniczne i artystyczne. Z fabularnych do czołówek zaliczyłabym dwa filmy: „Dalekie podróże” Stanisława Olejniczaka oraz „Most” Janusza Majewskiego. Obydwa mogły śmiało pretendować do nagrody i do noty bardzo dobrych.

Dalekie podróże (op. R. Jastrzębski) są adaptacją znanej opowiadania Dygata. Stąd, tym większa zasługa reż. a. który sprostał ambitnemu zadaniu. Potrafił

wydobyc i konsekwentnie utrzymać specyficzny klimat, charakterystyczny dla twórczości Dygata (czego na przykład nie zdołała oddać inna etiuda, również sięgająca do Dygata: „Futerkowe zwierzęta” A. Osieckiej).

Praca dyplomowa Janusza Majewskiego „Most” (op. J. Pawłowski), potwierdziła ustaloną, dobrą markę tego reżysera. W poprzednim Festiwalu Filmów Szkolnych „Rondo” Majewskiego otrzymało II nagrodę, oraz wszystkie nagrody specjalne — za reżyserię, za zdjęcia, za scenariusz.

Niedaleko odbiła od tamtych, etiuda Jana Budkiewicza „Tortura nadziei” op. J. Tysler. Jest to także wybitna pozycja tegorocznego festiwalu. W „Ulicy” reż. K. Zanussi wyżył się eksperymentowanie z abstrakcją na korzyść rzetelnej i wnikliwej obserwacji tłumy ulicznego, zgrupowanego wokół incydentalnego zdarzenia (kradzież torbeki, pogon za złodziejem). Miniaturowe studium postaw i zachowań — typowych reakcji przypadkowych przechodniów, świadków wypadku — w porównaniu z „Parasolem” wykazuje poważny krok naprzód w umiejętnościach reżysera.

„Hamleś” pantomimiczna parodia Jacka Stachlewskiego. Sam film choć na pewno poprawny i ciekawy, nie wytrzymał silnej konkurencji, i głównie ze względu na wartość poznawczą usługuje miejsca filmom Olejniczaka, Majewskiego i Budkiewicza.

Filmów dokumentalnych nie powstałaby się Lódzka WFO. Ich walory publicystyczne są oczywiste. Doskonałą jest „Sciana emocji” Stefana Szlachetcyza (dobre zdjęcia A. Kostenki), a przede wszystkim Andrzeja Trzosa „Szkoła bez tablic” — oszczędna, chociaż niezwykle sugestywna w wymowie relacja z Muzycznej Szkoły dla dzieci niewidomych.

Tak więc drugi dzień przeglądu filmów szkolnych przyniósł ogromną ulgę — żadnych uduwnień, poży na inność, które przecież są poważnym niebezpieczeństwem nawet dla doświadczonych, żadnej marności czy nienaturalnej stylizacji.

odgłosy

KRONIKA SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁOWNY



ŚMIERĆ KRÓLOWEJ BARBARY (XVII)

Specjalne poselstwo od królowej Bony z wyrażeniem uznania małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą i życzeniami powrotu do zdrowia młodej królowej, nie rozproszyło podejrzeń i nieufności króla Zygmunta Augusta w stosunku do osoby matki. Łączy się z tą sprawą dość tajemnicza i zagadkowa historia, o której wspomina

niejasno Baliński. „Wszelako jak dalece nie ufano szczerości postępów Bony, jak się lekano jej przebiegłości, do wrotnego charakteru, dowodzą nam własne słowa Zygmunta Augusta, który nawet po zgodzie wolałby żeby jego żona listami raczej niż osobiście z matką się nawiedzała.”

źródło w następującym fakcie: w 1550 roku w czasie obrad sejmowych w Piotrkowie Bona przeniosła się z Mazowsza do Górnolipia, żeby znaleźć się bliżej sejmujących posłów i senatorów, na których wywierała nacisk i podlegała ich do oporu przeciwko małżeństwu syna. Na dworze swym w Górnolipiu, Bona trzymała jakąś czarownicę (babę), którą Zygmuntowi Augustowi udało się ująć i poddać inkwizycji. Bona na torturach (jak w kilkadziesiąt lat później niefortunnie zamachowiec na życie króla Zygmunta Trzeciego Wazy, szlachcic kalwin Piekarski, o którym za chowało się przysłowie: „Plecie jak Piekarski na mękach”) płała, co ślina na język przyniesie na temat trucicielskich zamiarów Bony. W końcu zwrócony i zaniepokojony Zygmunt August kazał osadzić „babę” w więzieniu na zamku w Sieradzu, skąd została przewieziona do Brześcia pod dozór wojewody wileńskiego Radziwiłła.

Zygmunt August do ostatniej chwili ludził się nadzieją, że w stanie zdrowia żonę nastąpi poprawa. Chora dusza się w źle przewietrzonych komnatach wawelskich i pragnęła oddychać świeżym powietrzem. Król powziął myśl przewiezienia Barbary do Niepołomic.

W tym celu kazał zrobić wielką kolebkę-karetę, rozbudowaną dla przeniesienia chorej. Kolebkę taką skonstruowano, ale okazało się, że jest ona za szeroka i że nie zmieści się w bramie miejskiej. Wobec tego Zygmunt August zarządził, żeby zrobić odpowiednio szeroki wyłom w murach opasujących Kraków.

Wyżewy z wrzodów i wydobytą z nich ropą ratowały na kilka dni przed śmiercią do tego stopnia powietrze w komnacie, że nikt nie mógł przebywać przy łożu umierającej królowej. Zygmunt August dał dowód wielkiego samozaparcia, poświęcenia i miłości, i nie opuszczał konającej małżonki. On jeden całymi godzinami podtrzymywał małżonkę na duchu aż do jej ostatniego tchnienia.

Wyłomu w murach miejskich nie zdążyli murarze zrobić. Barbara zmarła 8 maja 1551 r. Zgodnie z jej wolą Zygmunt August postanowił przewieźć zwłoki żony do Wilna. Daremnie Radziwiłłowie biegali: przebieg, położył ciało jej tamże (na Wawelu) ad perpetuum eius memoriam (ku wiecznej pamięci) między ciałami innych królów polskich, aby ludzie nie mówili, że ją wyrzucano z Korony przez, iż nie była godna leżeć między tymi koronowanymi Paniami.

Zygmunt August tłumaczył: „Królowa jeszcze za życia nas prosiła, żebyśmy Jej K.M. w Wilnie chorowali, k'temu iż niektórzy tu w Koronie zdali się być i owszem, pokaziwali się być niewdzięczni królowej Jej M. Przeto gdy żywej wdzięczni być nie chcieli, nie zdado się Nam, abyśmy między tak niewdzięcznymi ludźmi umarłą chować mieli. O terra ingrata non habeis ne ossa mea!” (O ziemi niewdzięczna, nie będziesz miała ani kości moich!)

Trzeciego dnia po zgonie odprawiono egzekwie celebrowane przez wielu biskupów. Zwłoki ubrano w długi, czarny, atlasowy suknie, w koronę, oraz w insygnia królewskie — berio i jabłko.

26 maja orszak żałobny ruszył w kierunku Wilna. Zygmunt August przez trzy tygodnie nie odstępował zwłok umiłowanej żony jadąc konno za karawanem. Przed każdym miastem lub miasteczkiem król zsiadał z konia i szedł bez względu na pogodę za trumną.

Tutaj warto dodać, że żałobny Zygmunt August miał zwyczaj przed każdą podróżą radzić się zaufanego astrologa mistrza Akademii Krakowskiej, Proboszczewicza, który ze stałą gwiazdą na niebie ukla-

dał horoskop. Otóż, przed wyruszeniem orszaku proboszczewicz przepowiedział ogień (pożar) w Brześciu, grozący królowi; poważnym niebezpieczeństwem. Zygmunt August przypomniał sobie o uwiezionej czarownicy (babie) królowej Bony, która to czarownicę kazał w swoim czasie przewieźć z więzienia w Sieradzu do więzienia w Brześciu i w obawie o swe zdrowie i życie, „lekając się zemdlała od jej (babę) szuk nadprzyrodzonych” wystosował do wojewody Radziwiłła list następującej treści:

„A tak iż królowej Jej M. matki naszej ta tam baba, która z Sieradza do Brześcia jest przewieziona, bardzo a bardzo nam dolega, obawiamy się iż jako innych dosięć nie przystojnych rzeczy pobrojęb, aby się też i Nam, czego Boże uchroni, przy tej babie dostać mogło. A tak ostrzegając, zda się nam konieczne, aby ta baba była z Brześcia na inne miejsce do Dubieka odesłana. Bo skoro do Wilna przyjedziemy, już tam jej prawo uczynić rozkażemy.”

23 czerwca odbył się pogrzeb w katedrze wileńskiej. Zwłoki Barbary pochowano w kaplicy św. Kazimierza obok zwłok pierwszej żony Zygmunta Augusta, królowej Elżbiety.

Jerzy Dągobert

V KOLUMNA

nił telefon. Przy aparacie zgłaszał się generał Engelbrecht, dowódca niemieckiej dywizji, która przed godziną zajęła Oslo.

— O co chodzi? — ostro rzucił Pohlmann.

— Do hotelu „Continental”, gdzie urządziłem swój punkt dowodzenia, zgłosił się właśnie niejaki Quisling z grupą uzbrojonych ludzi. Przedstawił się mnie jako nowy premier rządu norweskiego i zawiadomił, że zajmie trzecie piętro hotelu. Jego ludzie obejmą posterunki przed hotelem obok naszych posterunków. Nigdy nie słyszałem o tym osobniku! Czy mam prawo aresztować go?...

tunelach metra, a wielu rozpoczęło ucieczkę ze stolicy — wciąż zadawano sobie pytanie: „W jaki sposób niemieckie wojska potrafiły w biały dzień, niemalże bez przeszkód, wtargnąć do miasta, które od najbliższego portu niemieckiego dzieliło co najmniej 400 mil?...”

Najbliższe godziny wieczorne miały przynieść odpowiedź na te i inne podobne pytania. Oto przed zmierzchem rozległ się z licznych mefagofonów ulicznych głos... Vidkuna Quislinga. „Odwoluję zarządzenie byłego premiera” Nigardsfolda o powszechnej mobilizacji. Premierem teraz je-

nego. I jak się okazało — niestety — postawili trafnie...

Bojówki Quislinga szkolone przez szereg miesięcy na przestrzeni lat 1939-1940 w „treningowych” ośrodkach szkoleniowych niemieckiego wywiadu, jak również kilkadziesiąt osób z kierowniczych stanowisk w „Nasjonal Samling”, przeszkolonych w centrum „naukowym” niemieckiej służby zagranicznej, na pierwszy sygnał z Berlina przystąpiły do ostrej akcji już wieczorem dnia 8 kwietnia 1940 roku. Stolica Norwegii i wielkie porty morskie nie zostały zdobyte siłą oręża. Wszystko było zawczasu

ZDRADA VIDKUNA QUISLINGA

Do gabinetu ambasadora Niemiec w Norwegii Breuera, u którego przebywał od kilku godzin podpułkownik Pohlmann, specjalny wysłannik generała von Falkenhörsta, autora planu inwazji hitlerowskiej na Norwegię — wszedł młody człowiek w cywilnym ubraniu. Wyciągnąwszy się w postawie na baczność, ostrym ruchem wyrzucił prawą rękę w górę.

— SA — Standartenführer Scheidt ze służby Rosenberg! Przed chwilą rozmawiałem z Quislingiem. Obejmie on stanowisko premiera Norwegii, a obecnie montuje swój gabinet ministrów.

Zdumiony nagłym najściem podpułkownik Pohlmann zwrócił się do ambasadora:

— Kto właściwie kieruje niemiecką polityką zagraniczną, — minister spraw zagranicznych von Ribbentrop, czy Rosenberg z NSDAP?

Ambasador wzruszył ramionami.

— Jaką drogą przybył pan do Oslo? — głos podpułkownika był gniewny. Kiedy pan tu przyjechał?...

Scheidt, jak gdyby nie słysząc pytań podpułkownika, odpowiedział:

— O! moje pełnomocnictwa, panie pułkowniku — zalakowana koperta upadła na biurko — są w absolutnym porządku. Moje instrukcje podpisał kierownik urzędu spraw zagranicznych NSDAP — Rosenberg. Myślę, że to panu wystarczy...

W tym momencie zadzwonił

— Jeszcze kwadrans temu, generale — odpowiadał zdenerwowany Pohlmann — poradziłem panu wyrzucić za drzwi tego Quislinga. Ale oto obok mnie znajduje się przedstawiciel Rosenberga, który właśnie zawiadomił mnie, że ten Quisling jest jego podopiecznym i współnikiem. W tej sytuacji nie możemy niczego innego zdziałać, jak tylko czekać. Zadzwoń do generała von Falkenhörsta.

Odpowiedź von Falkenhörsta brzmiała jednoznacznie, choć brutalnie:

— Ręce precz od Quislinga!...

I mimo, że ambasador Breuer w półgodzinnej rozmowie z Berlinem starał się argumentować, że wybór Quislinga jest niefortunny, że objęcie przez niego władzy spowoduje na pewno znaczny opór Norwegów przeciw Niemcom, że hitlerowskie plany okupacji Norwegii napotkają niesłychane trudności, gdyż Quisling ma za sobą niewielu wpływowych Norwegów — odpowiedź Berlina była równie niezmieniona, co cyniczna:

— Postanowiono wykorzystać Quislinga. Pomogą mu n a s i „patrioci”...

Było późne popołudnie 9 kwietnia 1940 roku. Pierwszy dzień okupacji hitlerowskiej w Norwegii.

Jak się to stało, że mieszkańcy Oslo dowiedzieli się nagle z porannych gazet z datą 9 kwietnia 1940 r., że w fiordzie Oslo trwają walki, a dwa stołeczne lotniska były bombardowane przez niemieckie samoloty? A kiedy o godzinie 10 rano tegoż dnia ludność Oslo w olbrzymiej panice szukała schronienia w

stern ja, Vidkun Quisling. Sformułowałem nowy rząd. Wszyscy powinniśmy współpracować z Niemcami, sytuacja tego wymaga, nie ma sensu próbować oporu. Cały naród powinien zjednoczyć się wokół nowego rządu Quislinga!...

Niemiecka piąta kolumna w Norwegii znalazła przywódcę w osobie Karola Szpanausa, który od stycznia 1940 roku stał na czele okręgowych organizacji norweskiej partii narodowo-socjalistycznej — „Nasjonal Samling”. Tej faszystowskiej partii, którą w 1933 roku zorganizował w Norwegii Quisling, człowiek, który w 1930 roku był... ministrem obrony Norwegii! Od 1933 r. datowały się ściśle związki Quislinga i jego partii z Hitlerem i organami hitlerowskiego wywiadu. Latem 1939 roku Quisling zadzierzgnął ścisłą więź z Rosenbergiem i przedstawił mu swój plan „pomocy” Niemcom w okupacji Norwegii, aby — jak twierdził — „przedzić możliwość okupacji Norwegii przez Anglię”. Dla realizacji swego planu zażądał od Niemców... 6 milionów marek! jako „dotację”. I rzecz nie w tym, że ostatecznie hitlerowcy zapłacili Quislingowi „tylko” 100.000 marek. Rzecz w tym, że Hitler mimo, iż miał nie najlepszą opinię o Quislingu i o możliwościach jego partii — znalazłono bowiem w archiwach wywiadu hitlerowskiego dokument, który głosi: „Quisling — przyjaciel Niemiec, nie wielki fanata, człowiek, którego słowom nie należy przyznawać większego znaczenia”. — Hitler, Rosenberg, a później i von Ribbentrop postawili na

przygotowane, przerwane Kable elektryczne prowadzące z brzegu do pół minowych, przekupieni dowódcy co ważniejszych fortec nadbrzeżnych, przekazanie pisemnych i telefonicznych fałszywych rozkazów, rzekomo w imieniu rządu Nigardsfolda, w wyniku których oddziały armii norweskiej zaprzestały kontrataki przeciwko Niemcom. A do tego doszły akcje miejscowych Niemców, obywateli Oslo czy Narviku. Akcje sabotażu, prowokacji i dywersji wobec oszołomionych i zdeorientowanych zupełnie Norwegów, mieszkańców stolicy, Bergen, Egersund czy Kristiansund. Zaskoczenie było tak całkowite, że nawet nie trzeba było najeżdżać i ich pomocnikom z piątej kolumny zrealizować wielu z przygotowanych akcji dywersyjnych.

Podobnie jak w Austrii i Czechosłowacji, Hitler znalazł w Norwegii człowieka, obywatela tego kraju, który wziął na siebie rolę zdrajcy. Quisling poszedł śladami Seyss-Inquarta*) i Konrada Henleina**). Zdradzona Norwegia stała się łatwym łupem hitlerowskiej agresji.

*) Seyss-Inquart, adwokat, kanclerz Austrii od 1938 roku, przeprowadził Anschluss z Niemcami w 1939 roku — zastępca Franka w okupowanej Polsce, 1940-1945 komisarz Rzeszy w okupowanej Holandii. Stracony z wyroku norymberskiego w 1946 roku.

**) Konrad Henlein — przywódca hitlerowców w Czechosłowacji. Od 1938 do 1945 r. namiestnik Sudetenlandu. Po klęsce Niemiec popełnił samobójstwo.



Motto:

„Wara wypinać tylek na autorski wysiłek”
(wiadomo kto)

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE,

po pierwsze — odczekałem nieco; po drugie — wzięłem na uspokojenie; po trzecie — drugi raz „wyszedłem z nerw”. Nie było rady — usiadłem i napisałem co następuje:

Szanowny Panie Redaktorze!

1) Nie tak dawno, najpopularniejszy dziennik stołeczny wzięł na swoje barki trud iście heraklejski: postanowił za jednym zamachem oczyścić stajnię współczesnych pegazów i wyjaśnić czytelnikom, na czym do licha ta współczesna poezja polega. W owym czynie mitologicznym wzięli udział wybitni pisarze i teoretycy literatury, z których każdy przedstawił swój punkt widzenia. W ten sposób, wszystko powróciło do punktu wyjściowego — bo „jak było do przewidzenia, oczywiście, most w powietrze wysadzili anachishi” (koniec cytaty).

2) W powyższej historii nie widzę żadnych zdrożności. Dyskusja była bardzo owocna. Doprowadziła np do odkrycia takich fundamentalnych prawd, jak: „de gustibus itd.”, „nihil novi itd.”, itd. Gorsze były natomiast — niezamierzone przez dyskutantów — skutki prowincjonalne stołecznej imprezy.

3) Jedną z sympatycznych (bardzo) gazet łódzkich, bez żadnego złego zamiaru (jak sądzę), zaczęła systematycznie publikować co pikantniejsze urywki wspomnianej dyskusji, opatrzone je nagłówkiem „przegląd prasy” i lapidarnym komentarzem. Z urywków i lapidarności wynikały przeważnie dwie fundamentalne „prawdy”: że poezja współczesna jest niezrozumiała — oraz, że wszystkiemu winien jest poniekąd pan Jarosław Marek Rymkiewicz (poeta łódzki), Spinoza (Baruch de, filozof) i pszczoła (owad).

4) Wspomniana gazeta łódzka ma na swym koncie niebagatelne zasługi w dziedzinie zbliżania problemów współczesnej poezji do czytelników. W ciągu kilku ostatnich lat publikowała przecież AŻ DWA WIERSZE — jeden Mariar na Piechala i jeden Józefa H. Wiśniewskiego! Tak więc, lapidarności wspomniane należy traktować jak prawdy objawione. Na klęczkach. Z całym szacunkiem.

5) Tak! właśnie potraktowało imprezę o poezji wielu czytelników „Dziennika Łódzkiego”. Słowo honoru, nie bymnie to nie obchodziło, gdyby nie fakt, iż dla wielu ludzi było to pierwsze zetknięcie z problemami poezji współczesnej. Zetknięcie odpychające (paradoxy — prawda?), quasi-kontakt... w sumie — nie przyjemnego.

6) Przyznaję — początkowo podobala mi się ta cała heca. „Przeglądy prasy” pisane były „z biglem”, a ja sam — co tu ukrywać — „kocham rozrabiać”, ergo uśmiechałem się do każdej prasowej „rozróby” w kulturalnym tonie utrzymywanej. Wesoly nastrój minął jednak po kilku rozmowach z czytelnikami owych „przeglądów”. Doszedłem do wniosku, że wbrew intencjom autora, felietony te niczego nie rozjaśniły (przełownie — zaciemniły!) i ponadto wyrządziły niezaskuszenie krzywdę jednemu z najbardziej kulturalnych poetów łódzkich,

Panie Redaktorze, sądzę, że nie można mówić o kalectwie kulturalnym, gdy jakiś facet nie interesuje się poezją. Współcześnie istnieje tak wiele gałęzi i gałązek sztuki, tak wiele zaintereso-

SZWINDEL- OBYWATELE

Dalszy ciąg
ze str. 1

Punktem wyjścia była oczywiście wełna. No i ten fakt, że jest ona w kraju surowcem deficytowym, ściśle reglamentowanym, do którego dostęp ma tylko stosunkowo niewielka liczba ludzi zajmujących odpowiedzialne i kierownicze stanowiska. Więć — Eugeniusz Krzystanek. Najpierw odpowiedzialny pracownik łódzkiego „Textilimportu”, a później inspektor Zjednoczenia Przemysłu Wełnianego — Północ. Z racji swoich zawodowych obowiązków znalazł nie tylko technikę wydawania zezwoleń na zakup wełny, znalazł również wielu dyrektorów państwowych zakładów przemysłu wełnianego i ludzi zajmujących w tym przemyśle odpowiedzialne stanowiska. To właśnie nie do tej grupy należał inż. Stanisław Gajewski — naczelny dyrektor ZPW im. Hanka Sawickiej w Bielsku-Białej i to właśnie jemu pan magister Krzystanek w łódzkim „Grand-Hotelu” zaproponował kradzież ponad 2 ton niedoproduktu wełnianego importowanego z Anglii.

„Operacja” miała mieć wszelkie pozory legalności i miano jej dokonać z magazynu „Textilimportu” w Łodzi ze szkoda dla Zgierskich Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Jarosława Dąbrowskiego. Aby jednak rzecz uszła uwadze aparatu kontrolnego Krzystanek i S-ka montują cały zespół ludzi, którzy mogą przytłoczyć odpowiedzialną dokumentację. Publicysta katowickiej „Trybuny Robotniczej” tak wynotował z aktu oskarżenia sposób i technikę dokonywanych malwersacji przez wełniany gang. Więć — 15 marca 1957 r. dobrana paczka w składzie Krzystanek, Gajewski i referent sprzedaży działu zaopatrzenia „Textilimportu” Opalko przekazuje w garderobie „Grand-Hotelu” innemu współpracownikowi — Tarnawie tzw. dyspozycję wysyłkową

wełny. Akcja została roz-poczęta.

Tarnawa wyjeżdża ciężarówką PKS i podejmuje z magazynów „Textilimportu” 14 bel niedoproduktu wartości około 1.158 tys. zł. Auto wiezie ten ładunek do Bujakowa. Sam Tarnawa spłaca swoim współnikom odpowiednią „dołę” — 50 tys. zł „dyrektorowi” Gajewskiemu i 180 tys. zł „mgr” Krzystan-kowi.

Drugi etap — zacieranie śladów. Krzystanek poleca Opalkę wystawić drugą fikcyjną dyspozycję wysyłkową surowca, według której 2.280 kg niedoproduktu, które w rzeczywistości powędrowały do Bujakowa na Śląsku, miały otrzymać ZPW im. Dąbrowskiego w Zgierz.

Oczywiście, nigdy do tej fabryki ów niedoprodukt nie trafił. W akcję wchodzi Barbara Rogulska — kierowniczka działu surowców i rozliczeń zgierskiej fabryki. Odbiera ona fikcyjną dyspozycję i przy pomocy Krystyny Fic — kartotekarki, dokonuje fikcyjnego przyjęcia angielskiej wełny, która rzekomo nadeszła do Zgierza. Surowiec ten — znowu po pewnym czasie — jest stopniowo „rozliczany” i przekazywany do „produkcji”. Rogulska sporządza dokumenty finansowe i fakturę, na podstawie której ZPW im. Dąbrowskiego w Zgierz przelewem bankowym placą „Textilimportowi” należną kwotę za wełnę, której fabryka nigdy nie otrzymała.

Wszyscy są zadowoleni, wszystko jest w największym porządku.

Bardzo podobna była również technika w przypadku kradzieży surowca dokonanej przez prezesa Spółdzielni „Tkanina Artystyczna” — Kazimierza Kiljana i jego bielskich przyjaciół z Fortuny i Tarnawę na czele. Tyle, że zmieniła się fabryka, chodzilo tym razem o ZPW im. Rychlińskiego w Bielsku. Ale zasada była ta sama: kradzież robiono w rękawiczkach, nadając jej wszelkie pozory legalności, opatrząc i wyposażając dokumenty, w niezbędne podpisy i stempełki.

Być może dlatego nikt się

nie dziwił, że „biedny” dyrektor Gajewski, który kupował na zimę ziemniaki drugiego gatunku, bo na lepsze rzekomo nie było go stać — wybudował sobie w Bielsku okazałą willę, a jego żona wypożyczała na procent duże kwoty pieniędzy i obcych walut, że w swoim pokoju posiadał niezwykle obficie zaopatrzony w kosztowne zagraniczne trunki cocktail-bar, że Tarnawa i Fortuna mieli stale dla siebie zarezerwowane stoliki w bielskiej restauracji „Patria”, że pan magister Krzystanek — jakoby w drodze wymiany zagranicznej — doszedł do olbrzymiej plantacji róż złożonej z 25 tysięcy krzewów, plantacji położonej pod Piotrkowem. Różni specjaliści i dziennikarze zastanawiali się nad wysokością kwot, które przy pomocy stempełki i urzędowego dokumentu zagarnął wełniany gang. Jedni mówią 100 milionów, drudzy 50, inni ryzykują znacznie większe kwoty. Zbigniew Kwiatkowski z krakowskiego „Życia Literackiego” przyjął już tę najniższą — 50 milionów. Krakowski dziennikarz wyliczył następnie, że jest to suma, która wystarczy do zapłacenia miesięcznych zarobków zatrudnionych w zakładzie o 250-tysięcznej zalodze. I dodaje natychmiast — nie ma w Polsce takiej fabryki. Więć robi następne przeliczenie: 50 milionów to tyle ile zarabiają w ciągu miesiąca wszyscy mieszkańcy Tarnowa. To suma równoważna 500 samochodom osobowym najwyższej marki.

Tyle nakradli. Ale czy rzeczywiście TYLKO TYLKO?

MILIARD ZE WSPÓLNYM MIANOWNIKIEM

Afera bielskiego gangu wcale nie jest jedyną tej skali afery, które zostały ujawnione na przestrzeni ostatnich kilku lat. Wypada tutaj wspomnieć wielkie



W bielskiej „Patrii” mieli zarezerwowane na stałe stoliki...

włamań do kiosków, sklepów i magazynów szybko trafiają za kratki. Ale jest również oczywiście i to, że w sposób gwałtowny wzrasta liczba malwersacji świetnie zorganizowanych, dokonywanych pod pozorami legalności i obwarowanych właśnie owymi urzędowymi papierkami, stempełkami, podpisami.

Niepokoi nas, że ludzie

ce zielarskie nieprzydatne do produkcji. W czasie śledztwa ustalono, że dyrektor oraz podlegli mu kierownicy produkcji i zaopatrzenia pobierali wysokie łapówki od plantatorów w zamian za stosowanie wyższych cen zakupu. Dyrektor naczelny Kłomnickiego Przedsiębiorstwa dla ukrycia swoich nielegalnych dochodów podawał, że wygrał główną nagrodę w Totolotce.

A teraz inny przykład z branży włókienniczej: zaczęło się od tworzenia nadwyżki w magazynach. Robiono to w ten sposób, że wysyłano przędzę do farbiarni przedtem przechowując ją w pomieszczeniach nadmiernej wilgotności, a nawet zlewając ją wodą co znakomicie podwyższało jej wagę. Chyba tylko tymi „sposobami” mogły powstać duże rezerwy surowca w spółdzielniach w Gucinie oraz w Ksawerowie.

Żeby tak dodać wszystkie kwoty, które zagarnęli bohaterowie wielkich afer gospodarczych do swoich kieszeni, kto wie czy przypadkiem nie urosłyby one aż do miliarda. Tak, jakiś duży procent ogólnego budżetu państwa idzie za pośrednictwem owych świetnie zorganizowanych mafii i kumoterskich klik do kieszeni wcale nie naszego społeczeństwa.

Wypada jeszcze dodać, że ten wniosek wcale nie wyciągamy z samego procesu wełnianego gangu, który toczy się w Katowicach. Mam przed sobą dokumenty, które są wynikiem pracy łódzkiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli. Oto np. w Kłomnickiej Wytwórni Produktów Zielarskich inspektorzy NIK oraz Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego ujawnili niedawno nadużycia sięgające ponad 4 mln zł. Technika działania przestępców sprowadzała się do zakupywania od osób prywatnych na przestrzeni od 1957 do 1961 r. różnych ziół i przypraw po cenach wyższych od obowiązujących. Matwersanci nabywali również surow-

siębiorstwie, w którym popełnił on nadużycie zdecydowano od niego odkupić jego przetwórcę, mianować go jej kierownikiem i równocześnie umorzyć w stosunku do niego wszelkie roszczenia wynikające z nadużycia dokonanego przed czterema laty.

Bez komentarza.

SOCJOLOGIA FAKTÓW

Nie wstydzimy się prawdy, odwrotnie decydujemy się śmiało powiedzieć, że duża część ludzi postawionych na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach nie wypełnia swego podstawowego obowiązku — przestrzegania zasad uczciwości. Znowu dysponuje konkretnymi danymi i przytoczę je, by nie spotkać się z zarzutem głośliwości. Otóż wśród osób, które dokonały przestępstw na terenie naszego województwa w ciągu ubiegłego roku znalazło się m. in. 83 dyrektorów i kierowników, 108 urzędników, 206 spółdzielców — członków rad nadzorczych i prezesów i 62 robotników oraz chłopów. Jest to bardzo wymowna statystyka stwierdzająca, że nie kradną akurat ci, którzy stosunkowo mało zarabiają. Nie ma więc żadnych usprawiedliwień społecznych dla złodziei, nie ma więc miejsca na tolerancję wobec kryminalistów na stanowiskach kierowniczych.

PANIE PROKURATORZE! NIM NA KOLEJNYM POSIEDZENIU SADU POWIE PAN ZNOWU SŁOWO — OSKARŻAM. CHCIAŁBYM ŻEBY PAN NIE WIDZIAŁ W NICH LUDZI, KTÓRZY ZASIADALI NA DYREKTORSKICH STOLIKACH. NIE POWINNO BYĆ MIEJSCA NA TOLERANCJĘ WOBEC KRYMINALISTÓW. ZWŁASZCZA, GDY SA TO BYLI KIEROWNICY!

wań — że nie sposób pomieścić tego w jednym sercu czy mózgowicy. Czas renesansu „praszi bylinny” — inne teraz znaki czasu. Sam jestem np. analfabetą muzycznym — zainteresowania moje w tej dziedzinie wyżej Czajkowskiego nie sięgają. Inny znowu — kontakt z poezją urwał na lekturze szkolnej. Nie zdziwnię — po prostu gościa TO NIE INTERESUJE. O Wajdzie słyszał każdy, o Rymkiewiczie co tysięczny. Jak się rzekło — znaki czasu.

Zupełnie inna sprawa — to potencjalni odbiorcy jakiegś gatunku sztuki, czyli ludzie, którym obca jest np. poezja nie na zasadzie eliminacji, lecz przez ZUPEŁNY BRAK KONTAKTU. Jeśli tym ludziom powie się, że sztuka współczesna to — za przeroszeniem — barachlo... wówczas dogmat taki odcina im jakąś możliwość, jakąś szansę. Żadne pismo, żadna gazeta, która nie kiwnęła palcem aby współczesną sztukę POPULARYZOWAĆ — nie ma moralnego prawa mówić o sztuce NEGATYWNIE I JEDNOSTRONNIE, ponieważ w efekcie głos dyskusyjny zamienia się w głos potępienia.

Jeśli solidny, dojrzały poeta — jakim jest Rymkiewicz — zostaje przedstawiony tysiącom ludzi, jako AUTOR ZŁEGO WIERSZA, to (niezależnie od jakości owego jednego utworu) wyrządzona zostaje krzywda poecie i wspomnianym tysiącom.

I — na koniec — sprawa Spinozy, pszczoły, etc... czyli problem szerszy od oceny twórczości tego czy innego poety. Sprawa potępienia w czambuł całej młodej poezji polskiej za „niezrozumiałość”.

„E, do diabła, dam spokój. Chciałem trochę „poteoretyzować” — lecz po co. Przytoczę jedynie ku pamięci fakt następujący: większość moich zacietrzewionych rozmówców szermowała argumentami przeciw młodej poezji, czerpiąc z dogmatów „Dziennika Łódzkiego”... i okazało się, że:

po pierwsze — nie znają prawie wcale tej poezji, po drugie — nie widzą również kto napisał „Statek pijany”, ani — kto to byli konstruktywiści, ani — z czym się je taki symbolizm francuski, ani — kto napisał „Najmniej słów”, ani... ani... ani...

No, panowie, panowie — wolnego! Tu chyba potrzeba odrobiny PRYGOTOWANIA. Czy zrozumiałość ma oznaczać ABC? Czy papkę jakąś lekkostrawną?

ROBERT GLUTH

Tekst: KRZYSZTOF POGORZELEC

Zdjęcia:
J. L. LEWIŃSKI

cesy radomskich „milionerów” skórzanych na czele z panem Dedo, głośny proces dyrektora warszawskich Garbarni — Gallekiewicza, który naraził skarb państwa na wielomilionowe straty, nie tak dawno prasa w krótkim komunikacie doniosła o wykreju całej organizacji przemyślniczej, która zajmowała się transferem obcych walut i ich korzystną wymianą pomiędzy Polską — Austrią, a kto wie czy nie nawet dalej — do Związku Radzieckiego.

Pozornie te wszystkie sprawy łączy tylko jeden wspólny mianownik — ukradzione ze szkoda dla społeczeństwa pieniądze. Dla ludzi bardziej wnikliwych jest jednak jeszcze jedna rzecz niewątpliwa: otóż we wszystkich tych sprawach na ławach oskarżonych zasiadli ludzie, którzy nim prokurator wypowiedział słowo „oskarżam” — zajmowali w hierarchii społecznej często bardzo wysokie stanowiska. Tym, którzy zarzuca mi, że jest to stwierdzenie głośliwe, że zbyt czarno patrzę na rzeczywistość i nie dostrzegam statystycznego spadku przestępczości w naszym kraju odpowiadam w tym miejscu: tak to prawda, że zmniejszyła się ilość pospolicich przestępstw, istotnie już bardzo rzadko ktoś zza węgla proponuje nam kupno cegły, na pewno coraz sprawniej wykrywane są wszelkiego typu drobne kradzieże, że autorzy

odgłosy

str
5

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

W każdym człowieku obok skarbów drzemie makulatura, której dla dobra społecznego niczym oczom ukazywać nie należy. Bywa jednak i tak, że ludzie, nie mogąc upłynnić niechodliwych akurów w sezonie prawdziwych skarbów, zaczynają ową makulaturą handlować na lewo. W ten sposób powstaje m. in. „szwarzkultura i szwarzszuka”. Artysta malarz od jeleni, czy lokalna Violetta Villas od „Skradłej serce mi” mogą, nie znając innych form sztuki, pełnić swoją misję ze świętym zapalem, ale jeśli jelenie zacznie malować np. Mackiewicz, a rzewne piosenki śpiewać np. Spychalski, będziemy mieć do czynienia ze zjawiskiem świa domego tworzenia „szwarzkultury”. Ale chyba nie zaczyna. Gorzej jeszcze, gdyby tego rodzaju akcją zechciała zająć się jakaś instytucja państwowa, gdyby np. Wydział Kultury zaprzagnął zakładać sklepy, w których sprzedawano by płótna z jeleniami i zachodami słonica dla pokrycia kosztów akcji odczytowej z cyklu „historia sztuki” na głębokiej prowincji, wśród niewyrobionych odbiorców. Mogłoby się wów czas zdarzyć, że obrazy z jeleniami robiłyby zbyt silną konkurencję odczytom, które kończyłyby się kompletnym fiaskiem. Ow „świeży” odbiorca, którego chcą upolować specjaliści od upowszechniania kultury ciężki bowiem zawsze ku „szwarzkulturze”. Im bardziej jest do niej przyzwyczajony, tym trudniej wdrożyć go do rozumienia Brezy i Picassa. Jeśli ktoś wychował swoje gusty estetyczne na Zarzyckiej, to czytanie Prusa i Prousta będzie się wiązało z pogwałceniem dotychczasowych upodobań. Taki kryzys zawsze wiąże się z przejściem do rozumienia bardziej skomplikowanych wytworów sztuki, „szwarzkulturę” natomiast przyjmie się bez wysiłku intelektualnego i na tym polega jej kusicielski powab.

Od lat czterech jednym z centrów „szwarzkultury” jest miasto Piotrków. Na mapie województwa Piotrków i okolice polyskują blaskiem brazylijskich brylantów.

Rzucić je garściami na szpalty „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” znany jeszcze w

międzywojennej i powojennej Łodzi powieściopisarz w odcinkach, p. Andrzej Żański (niektórzy mylą, niesłusznie, z dr. Żańskim, dyrektorem Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej. Prosimy nie mylić! Dr. Żański doprawdy nie pisuje między epidemiami grypy żadnych powieści).

W jednym z numerów owej Gazety narysowano kolejkę, złożoną z ludzi, czekających przed kioskiem „Ruchu” na nowy odcinek powieści p. Żańskiego. Wierze, że jest to prawda, więcej nawet — sądzę, że redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” powinna złożyć podanie o przydzielenie jej choćby jednego służbowego rewolweru na wypadek, gdyby ktoś, nie dostawszy w kiosku gazety, chciał redakcji przy pomocy terroru wydrzeć jedyny, ostatni egzem-

Jak nas uczy doświadczenie, odpiwczyników kulturotwórczych w Łodzi odbywa się w dwóch kierunkach — jedni przenoszą się do Warszawy, inni zaś do Piotrkowa. A Żański należy chyba do tych bardziej przewidywających — lepiej być zawsze rozchwytywanym i cenionym autorem w Piotrkowie, a nawet w Galkówku, niż zapoznanym, a może nawet tępiącym, w Łodzi. Sądzę, że jeśli p. Żański zostanie wypartym z Piotrkowa, przeniesie się do Łęczycy, a jeśli i tam dosięgnie go zawieszka ludzka, zacznie tournée po najbliższych terenach, wygłaszając w każdej miejscowości 1 odcinek powieści. Np. co dwa tygodnie. Z pewnością okoliczna ludność zostawi wówczas nawet „Matysiaków” i popędzi do stóp A. Żańskiego i choćby w tym samym

z majonezem, kawior z łosiem, ryba w galarecie, kotleciki cielece z groszkiem, kompot, czarna kawa, wódka i likier), nienagannym wydźwiękiem ideowym, lubieżnym fabrykantem-kolaborantem, brutalnym o podłożu politycznym. Żański pisze lirycznie („Henryku... Henryku... Czy zobaczę cię jeszcze? — Szarpnęła nią rzewna tęsknota. A gałęzie drzew, rozchwypane wiatrem, szumiały cicho, tajemniczo”), ideologicznie („Będa nad nimi powiewały sztandary czerwone, będzie nad nimi się chwiały wielkie pieśni, a oni — odważni pionierzy lepszego jutra, nieustraszeni bojownicy, przeciwstawiający się haniebnemu wyzyskowi kapitalizmu, maszerowali będą zwartymi czwórkami, mocni jak Epos bohatera, twardzi, jak młot żelazny w

jest szkole swoich poprzedników, nie różni się niczym zasadniczym od innych twórców powieści na kilometry. Kobiety są w jego powieściach cnotliwe (blondynki) lub nierządne (brunetki), mężczyźni szlachetni (blondyni) lub kanalie (bruneci). Z całej swej bogatej natury A. Żański jest fatalistą, wierzy, że co komu przeznaczone, to się spełni, choćby mu na drodze stały trzy wojny światowe i tyleż demonów w żeńskim wydaniu. Kula takiemu szczęśliwcowi oblecie trzy razy serce narokom i życia nie naruszy, dom się na niego zawali, ale zawsze zostanie mu jakaś dziurka do oddychania i wróci do stęsknionej i złamanej życiem tej, z którą połączyła go pełna dobrej woli koncepcja autora.

Postawa polityczno-spo-

wieść dzieli zwykle na trzy warstwy. 1-sza dzieje się w świecie fabrykancko-komfortowym przed wojną, 2-ga w kraju (bohaterstwo) lub za granicą (przygody miłosne w egzotycznych krajach) podczas wojny i 3-cia wreszcie po wojnie, w ramach kształtowania się psychiki na miarę bohatera pozytywnego.

Dzieło Żańskiego można by określić jako skrzyżowanie konwencji „Tredowatej” z konwencją „Nr 16 produktu”, gdyby nie było to obraźliwe dla autorów tych powieści.

Powieść odcinkowa ma jednak tym większe powodzenie, im więcej zawiera akcesoriów współczesnych i dotykających. Teraz już i Orten czy inny Karwicz byłby nam bliższy, gdyby zamiast myśleć bez przerwy o wykonaniu planu, poczytał czasem Beckettą.

Może jednak A. Żański po prostu spasował? Może, powtarzając powieść sprzed 10 lat, zdaje sobie sprawę z tego, że jego proceder chyli się ku końcowi?

Taktyka A. Żańskiego jest wielce symptomatyczna. Jelenie na rykowiskach też chyba emigrują w kierunku Piotrkowa. Ciekawe jednak byłoby dokładne zbada nie opinii czytelników Żańskiego. Może ich gusty się zmieniły? Może happy end już im nie odpowiada, i woliliby widzieć na zakończenie bohatera nad befsztykiem tatarskim i wyskokowym lekarstwem na smutki tej ziemi. Może już do Piotrkowa i okolic przeniknął egzystencjalizm? Strzeż się pan, panie Żański! A może by urządził Żańskiemu wieczór autorski? Może taka impreza dałaby więcej materiału badaczom stanu kulturalnego ziem wojewódzkich niż mozolnie co rok sporządzane statystyki. A jakie różnice w ilości sprzedanych egzemplarzy Gazety zaistniałyby, gdyby przerwał druk powieści?

Ciekawe też jest, co myśli o sobie i swoich czytelnikach sam A. Żański. Może powiedział sobie tak, jak jeden z jego bohaterów w zakończeniu jednej z jego powieści:

„Taki! Koniec rozterki i błądzenia bez celu. Znalazłem wreszcie sens życia — odnalazłem samego siebie. Zostanę w Piotrkowie, stacji mego przeznaczenia”.

Na tropach szmiry

SKARB W PIOTRKOWIE

plarz żaden wieści o Annie (anielskiej) oraz Karwiczu (diabolicznym). Na wszelki wypadek, w złośliwej intencji uchronienia w/w redakcji przed niebezpieczeństwem, uprzejmie zawiadamiam, że powieść owa była w podobnej formie, choć pod tytułem: „Sygnał w ciemnościach”, drukowana w „Expressie Ilustrowanym” łódzkim, w r. 1950 i 1951 i że wobec tego w starych rocznikach owej znacznej gazety można c.d. znaleźć bez większego trudu.

Zasługi A. Żańskiego na terenie Łodzi są tak wielkie, jak silne są tradycje jego produktywności i pilnie poszukiwanej twórczości. Obudził on i rozwinął w czytelnikach masach niezdrowy pościg zarówno do własnych, jak i pokrewnych rodzajów plodów literackich. Jak teraz „docierać do czytelników” z klasyczną i nowoczesną literaturą, gdy przyzwyczajali się oni do powieści odcinkowych, jakże atrakcyjnych i zapalających mankamenty życia; jak smucić i nudzić Hemingwayem serca i umysły, stęsknione za A. Żańskim?

czasie zjechał sam Tadeusz Breza, traktorem nawet miłośników literatury od A. Żańskiego nie odciągną.

Andrzej Żański ma bowiem z sobą siłę nie do pokonania, magię „Oczu Krytycznych” i nog oraz innych części ciała demonicznej Małgorzaty Brink, krążącej w charakterze damskiego „szwarzcharakteru” wokół szczęścia pierwszej naiwnej oraz nieśczęsnej ojczyzny, Małgorzaty-spiegla, Małgorzaty-pokusy.

Andrzej Żański ma w swoim pisarskim arsenale broń artystyczną, której nikt nie sprosta, dysponuje pełnym szczęścia happy-endem, niewinnym dziewczęciem o sercu św. Cecylii i nogach Marleny Dietrich, któremu pewnego dnia nabrzmiewają zmysłowo wargi, męskim typem o wyjątkowym sex-apelu, wysokim, z twarzą opaloną na brąz, przystojnym, pachnącym świętą wodą kolońską, ubranym w jasny, elegancki garnitur, wyglądającym jak zmodernizowany anioł, który przypadkiem zaślubił do piekiel, a także wytwornym menu (kanapki

garści mocarza”), niepokojać („Pocałunek jaki złożył na jej dłoń, jest palący. W oddali, jakgdyby akompaniament do tej sceny, dźwięczą romantyczne, miękkie melodie tanga”), psychologicznie („Ma oczy jak niebieska stal... I jak stal mocne ramiona. A serce? Czy i serce ma także ze stali?”), zmysłowo („Szeroka zarzucona poduszkami otomana stała w półcieniu ale Anna dostrzegła wyraźnie najpierw białe ramiona matki obejmujące Edmunda Wachmudzkiego, a potem jej błagalne, pełne drapieżnej szczelności oczy. Oczy bachantki ze starej wazy...”), etycznie („Co za błoto! — powtarza”).

Nie sposób wymienić, scharakteryzować i poprzeć przykładami wszystkich nianusów stylu i środków artystycznych, którymi operuje p. Andrzej Żański. Są one bardzo różnorodne — od złośliwego błysku w oczach bohaterów aż do prześwietlonych tryad, wygłaszanych pro publico bono na temat odbudowy kraju po wojnie. W zasadzie Żański wierny

leczna Żańskiego nie budzi zastrzeżeń. Bohaterzy pozytywni, jeśli się nawet zalamują, to na krótko i zaraz potem ze łzami w oczach stają przy swym warsztacie pracy, spekulanci zawsze znajdujący mieszkanie, które im kodeks karny wyznaczył, a postaci o niezdeterminowanym obliczu autor przy końcu powieści zwykł oczyszczać, albo przy pomocy nagłej śmierci, albo przez obudzenie w ich sercach żaru o zdecydowanie pozytywnej wymowie. Nie można powiedzieć, żeby utwory Żańskiego były w r. 1960 nieaktualne. Przy całej swej aktualności nie wpadł on jednak w natłok bezbarwnych i szarych akcesoriów dnia codziennego. Jego powieści mienią się klejnotami i nazwiskami Karwiczów, Ortenów, Tychniewiczów, szampan leje się w odosobnionych gabinetach, a stal dźwięczy podczas lekcji szermierki — Żański znalazł bowiem sposób na pogodzenie kapitalistyczno-arystokratycznych wspaniałości z rzeczywistością bardziej współczesną. Otóż każdą po-

Dołgi, Narcyz, rodzice. Jakże szybko zrywałam z dawnym życiem!

Pan mówi, że Borutę pan także rozumie? Może. Ja go teraz nienawidzę. Mój adwokat tak kierował sprawą, żeby całą winą obarczył Borutę. Pan nie uwierzy: Boruta się niczego nie wypierał. Wszyscy w ostatnim słowie prosili o łagodny wyrok, a tylko Boruta powiedział, że nie żałuje swych czynów, bo będzie sławny i podziwiany. Welne ukradł dlatego, że chciał mnie zaimponować. Cyganka wywróżyła mu, że zostanie wielkim kapitanem i dlatego zapisał się do związku rybaków. Opowiadał mi o tej wróżbie. W ogóle Boruta był taki, że tylko mówił o sobie i swojej karierze. Przysięgał, lubiłam go słuchać.

Zajechaliśmy więc do Zakopanego. Powiedziała mi sądzicie i lekarzowi: jeżeli kiedykolwiek myślałam jeszcze o powrocie do domu i szkoły, to w Zakopanem ta myśl odeszła ode mnie raz na zawsze. Pierwszy tydzień minął bardzo przyjemnie. Zatrzymaliśmy się u znajomych Boruty. Proszę pana, Boruta już trzeci rok przyjeżdżał do Zakopanego i wynajmował u nich pokój. Płacił 50 zł za dobę. Oczywiście, najlepiej bawiliśmy się w „Jędrusi” i „Watrze”. Bardzo szybko zadomowiliśmy się tam. Kelnerzy znali naszą

koju. Tato spał. Rzadkie włosy rozsypany mi się dokoła głowy. Wyglądał pociesznie. Nie mi go nie było żal. Niech nie pije. Mariola wciąż jadła. Powiedziała mi o tej forsie. Kiwnęła głową przyzwalając. Wróciłam do łazienki: zabrałam pieniądze i zegarek. Wyszłyśmy natychmiast na ulicę. Zegarek zatrzymałam, a pieniądze podzieliłyśmy się po połowie. Przypadło nam po 450 złotych.

Nazajutrz rano odszukał nas Boruta. Zapominał już o wczorajszym dniu. Niech mi pan wierzy. Podobal mi się coraz więcej. Był jak zwykle czysty i ogolony. Nie było znać na jego twarzy żadnej troski. „Cześć!” — powiedział do nas. Przywitaliśmy się. „Jak ci się spało?” — zapytała Mariola. „Nieźle — odpisał Boruta. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Mam trochę gotówki. Przekazuję ci ją. „Dokąd?” — zapytała. „Główna myśli, główna praca — rzekł wesoło Boruta. — Jedziemy do Zakopanego”. „No, wiesz!” — krzyknęłam uradowana. — Nigdy bym na to nie wpadła!” Boruta przyjął z uśmiechem komplement. „Jeszcze jeszcze zielona” — odpisał. Zaczęliśmy się. No, pomyślałam sobie, gdybyś wiedział, że i ja coś niecoś potrafię. Ale nie mu nie powiedziałam o naszym wyczynie u Taty. Mariola też milczała. Postanowiłam, że w stosownej chwili wystąpię jak aktorka na scenie. I zegarek mu ofiaruję i pieniądze. W Zakopanem napewno się taka okazja nadarzy. Pieniądże się Borucie skończą i wówczas ja wystąpię.

Pojechaliśmy na noc. W Kozłuskach mieliśmy przesiadkę. Co to była za podróż! Pan nie uwierzy, jak było wesoło. Boruta żartował, potem zgasił światło. Mariola wkrótce zasnęła, a Boruta posadził mnie na kolanach. Jak on umiał zabawiać, jakie piękne historie wymyślać. Zamknęłam oczy i słuchałam. Pan się pytał o moje marzenia. Nie powiedziałam panu, że w dzieciństwie marzyłam o miłości, że mnie ktoś pokocha i poślubi. Najchętniej marzyłam w nocy, kiedy wszyscy położyli się spać. Łóżko moje stało na wprost okna. Matka hodowała w domu różne kwiaty. Kaktusy, draceny i paprotki. Lubiałam patrzeć na te kwiaty. Patrzyłam i marzyłam. Zaczynało się dla mnie drugie życie. Ja wiem, proszę pana, że to jest bardzo głupie. Zdawało mi się, że z okna schodzi do mnie mój ukochany i mówi do mnie czule słowa, okrywa pocałunkami moje ciało. Żeby pan wiedział, ja naprawdę z nim rozmawiałam. Zdzierałam koszulę z siebie i też go całowałam. On tak chciał, ten miły. Jak się to kończyło? Słubem. Brałam z nim ślub. Byłam ubrana w białą suknię, na głowie miałam wianek i długi welon. Nikogo więcej nie było, tylko my. Ani matki, ani ojca, ani koleżanki. Nawet księdza nie było. Szliśmy pod rękę i organy grały. Ach, jakie to było piękne! Płakałam ze szczęścia. Kto to był ten ukochany? Raz i ten, teraz tym miłym był Boruta. Pan się nie dziwi? No, to do brze. Ja widzę, że pan mnie rozumie. Czulałam się szczęśliwa jadąc z nim do Zakopanego. Daleko za nami została Łódź.



TADEUSZ PAPIER

MAGDALENA

STRESZCZENIE

Siedemnastoletnia dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpływów grupki „złotej młodzieży”, w której „królują” Boruta i Dbugi. Magda zakochuje się w Borucie i pod jego wpływem opuszcza dom rodzinny. Akcja oparta jest na relacjach z życia (wywiady, kroniki sądowe), niechże jednak czytelnik nie doszukuje się w tekście konkretnych postaci. Bowiem nie chodzi o tak wąsko pojęty autentyzm. Chodzi o prawdę o smutnych losach, których można uniknąć, jeśli tylko poznamy mechanizm staczania się na dno życia społecznego i zechcemy go wspólnymi siłami zniszczyć.

Nie wiecie. Nie wam z tego przyjdzie, choćbym powiedział. I mnie nie nie przyszło. „Jestem sobie panem gdy siedzę nad dzbanem”. „A

po co nam to wiedzieć? Czy to daje chleb?” — odezwał się. „He? Tato skrzywił głowę na bok i patrzył na mnie. „Patrzcie, mówię, co za ładny płaszek!” „Oczywiście!” — wróciła się Mariola. „Co mnie obchodzi jakiś tam Kandalauz czy Salomon. Ale lubię słuchać, jak Tato gada”. „No, no. To z was takie małe płaszki... A fruwajcie sobie, fruwajcie, po rynsztokach, po ciemnych ulicach, po piwnicach. Fruwaj sobie, fruwaj — mówił ponuro — i tak przyjdzie chwila, że płaszki wpadnie do klatki, Jedytka też wpadnie, preciki tam będą, a płaszyna będzie trzepotać skrzydełkami, nie wydość nie się na boży świat. Oj, wpadnie płaszyna, widzę to już po tych oczach, oj, wpadnie!”

Proszę pana, ja zapamiętałam ten wiersz, bo Tato powtarzał go kilka razy, tak mu się podobał. Ja tam nie lubię ponurych wierszy. Wreszcie Tato przestał mówić, miał już dość. Mogę się przysiąc, że nie wiedział, co się z nim działo. Głowa opadła mu na stół i zasnął.

Mariola poczęła gospodarować w mieszkaniu. Zrobiła sobie herbaty, na chleb nałożyła wędlinę i zaczęła jeść. Ja zaś wyszłam do łazienki. Tam właśnie zobaczyłam na półce słoik, a pod słoikiem pieniądze i zegarek. Tak, proszę pana, na sprawie przysłałam się do kradzieży tych rzeczy. Co myślałam, kradnąc? Pomyślałam sobie wtedy o Borucie, mówię panu, zrobiło mi się tak rzewnie na duszy. Gdybym tak zabrała te pieniądze i podarowała Borucie. Dopiero byłby zdziwiony. Głowa byłam dla niego wszystko uczynić! Wysłałam do po-

„A gdy będę w dół, wpuszczony, raz ostatni ścisnąj dłoń, niech innym biją we dzwony, mnie zaś, bracie, w kielichach dzwoni”.

REGUŁA BEZ WYJĄTKÓW

Dalszy
ciąg
ze str. 1

IDEAL ZAKONNIKA?

Potrzebę wzmożenia oddziaływania wychowawczego szkoły zgłosiło życie. Zle jednak, że wiele zainteresowanych czynników widzi drogę do wzmożenia tego oddziaływania wyłącznie w dokładaniu coraz to nowych obowiązków nauczycielom. W tym zakresie „Odgłosy” mają wielkie zasługi, zwracając bowiem uwagę na inne czynniki wychowawcze.

Od pewnego czasu np. nauczyciele muszą opracowywać specjalne plany wychowawcze a co za tym idzie przygotowywać pogadanki do tzw. godzin wychowawczych. Poza tym w szkole jest masa organizacji młodzieżowych, władze oświatowe zalecają od czasu do czasu szkołom przeprowadzanie najrozmaitszych akcji o charakterze wychowawczym, a sprawozdawczość i dokumentacja szkolna są tak zbiurokratyzowane, jak chyba nigdy.

Szczególnie przeciążeni pracą są w tej sytuacji polonisci, którzy muszą przejąć i poprowadzić setki zeszytów, co nauczycieli innych przedmiotów mniej dotyczy. Nie można np. stawiać znaku równości między poprawianiem zeszytów do matematyki, historii czy języka rosyjskiego i języka polskiego. Poprawianie tych ostatnich zabiera niewspółmiernie więcej czasu, a jednak polonisci obdarzani są pracami dodatkowymi na równi z nauczycielami innych przedmiotów.

Summa summarum nauczyciele wiele tych dodatkowych prac o charakterze wychowawczym wykonują po godzinach. Dobra nauczycielska ma tylko dwadzieścia cztery godziny, nauczyciel natomiast musi także wypełniać obowiązki rodzinne, posiada też — jak sądzi — prawo do życia prywatnego. Nie brak nauczycieli, którzy wszystkie powierzone im

prace wykonują sumiennie, ale wiedzą życie nauczycieli — zakonników, oddanych bez reszty sprawom szkoły. Czy takich nauczycieli chcemy mieć w szkołach? Oczywiście, byłoby to bardzo pożyteczne, nie zamierzamy chyba jednak organizować zakonów nauczycielskich ani też zobowiązywać nauczycieli do celibatu. W dyskusji padły już uwagi, że minął czas Judyków i „Silaczek”.

Nie obdarzamy zatem nauczycieli taką ilością prac i obowiązków, przy wychowywaniu cudzych dzieci, która doprowadziłaby do tego, że dziećmi nauczycielskimi byłyby pozabawione opieki i zaczęły chuliganie, co już się często zdarza. Pamiętajmy również o tym, że zdobycie współczesnej cywilizacji zmierzają do tego, aby praca człowieka była coraz lżejsza, coraz częściej słyszy się przecież o systematycznym skracaniu dni i tygodni pracy. Czemżeż to nauczyciel ma stanowić wyjątek?

CIĄGLE OMNIBUS?

Wielu „odgłosowych” dyskusyjantów widzi przyczynę niezadowalającego oddziaływania wychowawczego szkoły w niedostatecznym przygotowaniu nauczycieli do zawodu. Nie twierdzą, że przygotowanie to jest bez zarzutu. Sądzą wszakże, iż należy przewidzieć wymagania stawiane współczesnemu nauczycielowi. Czy czasem nie są one zbyt wygórowane? No bo jeżeli pragniemy, aby nauczyciel był doskonałym zbieraczem makulatury, doskonałym działaczem SKO, PCK, ZHP, ZMS czy ZMW, doskonałym społecznikiem udzielającym się zawsze i wszędzie, doskonałym psychologiem i pedagogiem, a do tego jeszcze doskonałym znawcą przedmiotu — to co tu chyba nie jest w porządku.

Poziom współczesnej nauki wymaga specjalizacji. Z nieufnością i pobłażaniem patrzy my dzisiaj na lekarza, który leczy wszystkie choroby od okulistyki po ginekologię. Potępiliśmy już także omnibu-

sowych nauczycieli szkół podstawowych, uczących w starszych klasach wszystkich przedmiotów od języka polskiego i matematyki, poprzez śpiew i rysunki, do wychowania fizycznego włącznie. Utrzymuje się jednak jeszcze wzór na nowoczesnego rzekomo nauczyciela, uczącego co prawda jednego przedmiotu, ale obciążonego szeregiem dodatkowych obowiązków.

Obowiązki te nauczyciele wykonują pobieżnie nie tylko z braku czasu, ale i dlatego, że nie są im one tak dobrze znane jak wykłady przez nich przedmiot. Najważniejszym obowiązkiem nauczyciela pozostaje przekazywanie uczniom wiadomości z zakresu wykładanego przez niego przedmiotu. Chcemy, aby nauczyciele pogłębiaли ustawicznie znajomość tego przedmiotu i metodykę nauczania, co powinno wpłynąć z kolei na wzrost poziomu wiadomości, wynoszonych przez uczniów ze szkoły. Chcemy także, aby nauczyciel był coraz lepszym wychowawcą, a więc pogłębiał swoje wiadomości z zakresu pedagogiki i psychologii oraz metodyki pracy organizacji młodzieżowych, co powinno wpłynąć na wzrost oddziaływania wychowawczego szkoły.

Chcemy zatem, aby nauczyciel był specjalistą, a przynajmniej znawcą kilku dziedzin wiedzy, a nie był magistrem omnium verum. Czy nauczyciel zdola zaspokoić nasze dotychczas nie stawiane wymagania? Zdola, jeżeli wmontujemy mu ze dwa mózgi elektroniczne. W przeciwnym razie, zawsze będą podnosiły się głosy, że źle jest z poziomem wiedzy nauczycielskiej. A zatem zgodzić się ze mną, że mamy tu do czynienia z tendencją nieco hurapostępową.

PROPOZYCJE

Chcąc pogłębić pracę wychowawczą szkół, trzeba, jak sądzę, dokonać pewnych zmian w strukturze szkoły. Zaczniemy od pedagogiki i psychologii. Wielu dyskusyjantów stwierdziło, że te dwie

dziedziny wiedzy są mało znane nauczycielom. Zalecali oni, aby nauczycieli przyuczyć. Czy nie byłoby bardziej wskazane, żeby w każdej szkole znalazł się psycholog z prawdziwego zdarzenia? Służyłby on nauczycielom pomocą i radą w trudniejszych konfliktach, których nie szczędzi obecność uczniów w szkole. Zapobiegłoby to zapewne wielu niezbyt trafnym decyzjom natury wychowawczej, podejmowanym przez nauczycieli, którzy tylko w mniejszym lub większym stopniu, ale nigdy w zupełności są i będą psychologami. Obecnie mamy tylko poradnie psychologiczno-pedagogiczne, gdzie nauczyciele kierują uczniami, z którymi już w żaden sposób nie mogą sobie poradzić.

Przejdźmy do spraw organizacji młodzieżowych. Redaktor Jazdzyszki słusznie zwrócił uwagę na to, że możliwości wychowawcze, jakie tkwią w samej młodzieży, są obecnie przez szkołę jeszcze zbyt mało wykorzystywane. Same władze oświatowe postanowiły już wreszcie nadać młodzieżowemu samorządowi szkolnemu poważniejszą rangę w procesie wychowawczym. Wszystko jednak wskazuje na to, że samorząd zostanie podniesiony do tej rangi kosztem dodatkowego i wcale niebagatelnego wysiłku nauczycieli, wysiłku, który w świetle socjologii powstania nie mieć jakis ujemny wpływ na inną pracę nauczycieli-opiekunów samorządów, bo przecież znów będziemy tu mieli do czynienia z omnibusowstwem.

Aby więc samorządy szkolne i takie organizacje jak ZHP, ZMW, ZMS zaczęły naprawdę uczestniczyć w procesie wychowawczym, należałoby pomyśleć o odpowiednim zmniejszeniu godzin nauczania nauczycielom-opiekunom tych organizacji, o czym mówi się wreszcie już od dawna, jak dotychczas bez skutku.

Może przydatne byłoby kształcenie nauczycieli, którzy obowiązkowo i specjalnością byłaby praca z organizacjami szkolnymi i młodzieżowymi. Sprawa jest poważna. Organizacje młodzieżowe mogłyby rzeczywiście odegrać doniosłą rolę wychowawczą. Osobiście, wierzę w możliwości ZMS, ta organizacja choć nie jest jeszcze dostatecznie powszechna, pokazuje to, co nazywamy w szkole — dobrą robotą wychowawczą. Nie sądzę jednak, aby udało się to uczynić drogą przeciążania pracą nauczycieli. Zwłaszcza, że z tymi siłami omnibusowstwa. Zjemy w epoce, która czyni pracę lżejszą, nauczycielską równie.

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

NAUKA JĘZYKÓW OBCYCH

What is this? This is a cat.
Skupiają koty, ale nie rude.
Rude kobiety, les femmes rousses
w długiej ulicy. Kocie spojrzenia.

Ein Mondschein, ein Mädchen, ein Meer.
Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Cisza na morzu nazywa się still
Quelle heure est-il madame Persil?
I'm having a rest. Odpoczywam.

Pod głową trawa
opodał Wasser, water, l'eau.
Coś się zdarzyło pod Waterloo?

Słowa, słowiki, słowniki, sowa.
Idzie dziewczyna. Nad nią obłoki.

No zacem tawariszcz skuczał?

Kroki dziewczyny lekkie i ciche.

Das ewig weibliche.
Das ewig weibliche.

GIOCONDA

Oczy Giocondy jak radar
Gioconda wie wszystko

Smukłe Giocondy w farmerkach
siwutkie dwudziestolatki
z piersiami Brigitte Bardot
na dalekich szlakach autostopu
w zapachu benzyny i siano
z uszami pełnymi ochryplego Armstronga
nasycone epoką po krawędzie uśmiechu

Mówią banały różowymi ustami
gdy gwizdże ktoś „Most na rzece Kwał”

Skradziono w Luwrze Giocondę
Czy jesteście pewni
że zwrócono autentyk?

UCIEKAJĄCA W PRZYMRUŻENIE OCZU

Uciekająca w przymrużeniu oczu
w rękę zwyczajnie gesty
gdy w popielnicze tła się papierosy

Rozmawiająca o codziennych sprawach
wśród spojrzeń które dotykała
zwykłych przedmiotów kolorów i ludzi

Rzeczy za których nazwą pospolicie
codziennym kształtem znanym z doświadczenia
leżą obszary nienazwanych pojęć
leżą krainy jeszcze nienazwane
konteksty świeże poezji barw plaków
świat wyobrażeń
gąszcz clemnych przeczuć

Laboratoria gdzie prosta ciekawość
rozszera blaskiem ślepiami żnienic
i gdzie cząsteczki w nieustannym ruchu

A dromadery godzin wolno kroczą

trójkę. Szczególnie podobala mi się „Watra”, do której przychodzili morowi goście. Jak się bawiliśmy? Mnie wystarczyło, że jestem z Borutą. Było co dzień wino, kawa, ciastka. Wieczorami tańczyliśmy. Owszem, robiliśmy wycieczki. Jechaliśmy dwa razy kolejką linową na Kasprowy, a raz byliśmy na Hali Kondratowej. To był bardzo piękny tydzień. Jedyny w moim życiu. Naprawdę czułam się szczęśliwa. Chciałam, aby pobyt w Zakopanem przedłużył się w nieskończoność. Po co miałam wracać do Łodzi?

Niestety, musieliśmy wracać. Pieniądże wyczerpywały się. Boruta złożył się z łada powodu. Pan mówi o tych pieniądzach od Taty? Zobacz pan, co one mi przyniosły. Tak, dałam je Borucie. Siedzieliśmy wtedy w kawiarni na Gubalówce. Pomyślałam sobie, że nadzorca właściwa chwila, aby Borucie pomóc. Wyjechałam z torbki zegarek i pieniądze i położyłam je przed Borutą. Mariola spojrziała na mnie ze zdziwieniem. „Co to?” — zapytał ostro Boruta. „Pieniądże”. „Wiem, że pieniądze. Skąd je masz?” — „Wzięłam Tacie”. „Jakemu Tacie?” — „Temu, co Mariola do niego chodził, panu M. Tej nocy, kiedyś się rozstał. Przed wyjazdem do Zakopanego”. „Ty suko!” — krzyknął Boruta i uderzył mnie w twarz. Na szczęście kawiarnia była prawie pusta, a Boruta, jak się potem przekonałam, miał wprawę w biciu. Czynił to szybko i bez halasu. „Ty suko, dlaczegoś mi nie powiedziała o tym natychmiast? Chciałaś ukryć przed mną? Jeśli jeszcze raz przylapiesz cię na tym, to tak skuję pysk!” Zabrał zegarek, pieniądze i wyszedł.

„Widzisz?” — powiedziała Mariola. „Masz naukę na przyszłość”. „Przecież chciałam mu zrobić przyjemność. Dla niego ukradłam”. Mariola zniecierpliwiła się: „Ty jesteś naprawdę zieloną gęś. W bociany wierzysz? Co ukradniesz, to dla ciebie. Schowaj, przepuść, kup sobie co, nikomu ani grosza”.

Nie wiedziałam co na to odpowiedzieć. Z Borutą spotkał się w godzinę potem na obiedzie. Zachowywał się jak gdyby nic nie zaszło. Był wesoły. Przypuszczam, że z powodu tych pieniędzy. Podejrzewam wreszcie, że oprócz tej forszy za węgiel i tej od Taty, za którą dostałam po pysku, miał jeszcze inną gotówkę. Inaczej by tak swobodnie pieniądze nie szastał. Ale do mnie odnosił się trochę wyniosło. Mimo tego policzka, kochałam go wciąż. Po pewnym czasie wstał i przyprowadził do nas młodą dziewczynę, wyższą ode mnie, pociągłą na twarz, śniadą. Ubrana była w białą bluzkę i spodniczkę w kratę. „Szyk babka” — określiła ją Mariola.

„To Krycha, to Mariola, to Magda” — przedstawił nas Boruta. „Cześć” — powitała nas Krycha. „Trzy na jednego, to nie za dużo?” — zapytała. „Prawidłowo!” — odparł Boruta. „Kto postawi wódkę?” — znowu rzuciła Krycha i usiadła obok Boruty. „Robi się” — rzekł Boruta i przywołał kelnera. Wydał mu polecenie, a następnie podsunął nam papierosy. Zapaliłyśmy. Krycha umiała puszczać ustami małe kółeczka dymu. Pykała nieznacznie wargami i w sekundowych odstępach wyskaki-

wały pod sufit małe kółka. Bardzo to ją bawiło. Boruta wziął ją za rękę i pogłaskał. „Dlaczego masz takie zorkiste dłonie?” — zapytał. Pytał dla kawału, bo Krycha wcale zorkistich rąk nie miała. Przeciwnie, skórę miała delikatną. Krycha zaśmiała się. Głos miała zachrypnięty, jak po grypie. Cholerne lubię babki z taką chrypka. Nie wiem dlaczego, ale strasznie mi się podobają. Położyła mu rękę na kolanach. „My się z Borutą już znamy” — rzekła. — „Poznał się zeszłego roku. O tobie Mariola już słyszałam, ale o Magdzie nie”. „Mnie Boruta poznał w tym roku” — odpowiedziałam. „A więc najnowszy wynalazek naszego kapitana. Masz niezły gust”. „Sądzę po Marioli i tobie, to nie bardzo” — odparł Boruta. „Ty, lajdaku!” — w głosie Krychy nie było znaku urazy. Wciąż się śmiała. Po chwili potem do baru. „No to cyk!” — Boruta zaproponował jeszcze po jednym. Było mi coraz weselej. Zapomniałam o niedawnej scenie z zegarkiem.

Zaprosił Mariolę do tańca, a ja zostałam z Krychą. W sali było duszno, lampy okręcono kolorowymi abażurami. W ogóle było bardzo fajnie. Usiadł mi się z Krychą na wysokich krzesłach. Zaraz po pierwszych zdaniach przypadłyśmy sobie do serca. Krycha miała podobne usposobienie jak ja. Poznałam, że jest taką, która nie da sobie „w kaszę dmuchać”. Mówiła, że koleżanki ją lubiły. Przyznała mi się, że często odpłaca nieżyczliwością za serce. Ale na to nie nie poradzi, lubi kłamać. „Myślisz” — powiedziała do mnie, że Boruta poznałam w zeszłym roku? Nie podobnego. Znam go dopiero od pa-

ru godzin. Frajer, przystawił się do mnie i myśli, że już mnie ma. Fajny jest, tylko za bardzo lubi się chwalić. Wreszcie jak i ja. Powiedział, że niedługo zostanie kapitanem. A ja mu odparłam, że nie mam czasu, bo muszę się przygotować do operetki, będę śpiewać. No, lubię operetkę, ale żeby zaraz grać. Lubię psy i koty, a ty? Co ty czytasz? Jakże książki lubisz? Och, jak chciałabym podróżować! Pojadę z wami do Łodzi!” Krycha mówiła szybko, wargi miała wilgotne, obejmowała mnie za szyję. Powiedziałam, że kocham Słowackiego, Mickiewicza, Dumasa, lubię powieści historyczne Rymkiewicza. „Ja również!” — krzyknęła Krycha. „Lubię także stare romanse, takie bez okładek, nie wiadomo jakiego autora, czyta się te rzeczy bez wytchnienia. Żeby dzisiaj tak pisać!” Krycha słyszała i czytała Hemingwaya. Ale jej się nie podobał. Zgodziłam się z nią, że nie można czytać o wojnie i o tych wszystkich okropnościach. Naprawdę, nie lubię tych rzeczy, proszę pana. „Opuszczam te partie” — powiedziała do niej. „Lepszy od Hemingwaya jest Makuszyński” — stwierdziła Krycha. „A najlepiej Kraszewski”. „Dobra jest też Rodziewiczówna — wtrąciłam — bo pisze ciekawie i smutno”. „Tak, w ogóle o miłości lepiej czytać niż ją żyć”. „To chyba nieprawda. Jeśli pragniesz miłości w życiu, to i chętnie o niej przeczytasz” — zaprzeczyłam jej. „Och! toś ty taka!” — uśmiechnęła Krycha. „Spotkać się z kim. Rozmawiać. On winien być bardzo dobry. Jestem wrażliwa na ładne słowa. Jak mi ktoś powie co ładnego, to serce mi tak mocno bije. Chciałabym być

zawsze blisko kogoś tego miłego”. „A masz już takiego? Może to Boruta?” Nie odpowiedziałam. „Mnie to wszystko jedno. Może być ten, może być tamten. Kiedy chodziłam do szkoły, zadawałam ię z jednym profesorem. Taki młody szczeniak. Siedziałam w pierwszej ławce i podnosiłam wysoko sukienkę. A ten nie mógł wykladać. Wiedziałam jak się do niego zabrać. Ty byś go też urzekła — dodała po chwili. — Masz takie oczy, że i dziewczynę możesz uwieść”.

Dalszą część wieczoru spędziłyśmy w mieszkaniu. Boruta przyniósł dwie flaszki wina. Było nam wesoło. Za parę lat pójdiesz na ulicę, a dajesz rady” — odezwał się ze złością Boruta, który widocznie chciał, aby Krycha jechała. „Właśnie dlatego, że pójdę pod latarnię, to niech ona nie jedzie”. „Owa!” — krzyknął ironicznie Boruta. „Dobrodziejka!” „Pojadę” — rozstrzygnęła spór Krycha i zaśmiała się krótko. „Krew nie woda. Chcę jechać i pojadę”. Więc na tym stanęło.

W czasie tego wieczoru Krycha zadecydowała: „Jadę z wami”. „Dobra jest” — odparł Boruta. „Przewietrzysz się”. Ale Mariola była bardziej trzeźwa. „Dlaczego jedziesz? Przecież masz tutaj pracę. Masz towarzystwo”. Istotnie, Krycha pracowała w spółdzielni krawieckiej jako sekretarka. Zarabiała około tysiąca dwustu złotych. Jej rodzice byli urzędnikami. „Mam towarzystwo w de. Jadę”. „Ale tu masz zajęcie” — Mariola nie ustępowała. Mimo wszystko była to dobra dziewczyna. „Po co mam pracować? Dla kogo?” „A szkoła?” „Już dawno zerwałam” — odparła Krycha. „Zalóżmy, że skończy budę. Ale to nie ma sensu. Po co mam koń-

czyć? Dla kogo?” „Owszem, jest po co!” „Ty, Mariolo, jesteś jak ksiądz, który grzeszy i prawil kazania. Za parę lat pójdiesz na ulicę, a dajesz rady” — odezwał się ze złością Boruta, który widocznie chciał, aby Krycha jechała. „Właśnie dlatego, że pójdę pod latarnię, to niech ona nie jedzie”. „Owa!” — krzyknął ironicznie Boruta. „Dobrodziejka!” „Pojadę” — rozstrzygnęła spór Krycha i zaśmiała się krótko. „Krew nie woda. Chcę jechać i pojadę”. Więc na tym stanęło.

D. c. n.



odgłosy

str
7

POCHWAŁA DOBREJ ROBOTY

W „Odgłosach” (nr 5/62) ukazał się artykuł o bibliotece łódzkiej podyktowany troską o rozwój kultury czytelniczej w zaniedbanym pod tym względem mieście. Dobrze się stało, że w tej niepokojącej sprawie odezwał się głos spoza kręgu zawodowych bibliotekarzy. Do krytyki wkraśli się jednak sporo niedomówień, które — dla lepszego rozeznania sytuacji — należy wyjaśnić.

Biblioteka Miejska im. Waryńskiego, podobnie jak Biblioteka Publiczna m. Warszawy, jak Książnica Toruńska, posiada podwójny charakter: jest zarówno biblioteką naukową jak i powszechną. Spełnia więc dwójną rolę, musi równomiernie rozwijać oba kierunki swej działalności i wypływać z tej racji zadania. Ograniczyć się na tym miejscu do pierwszej funkcji — naukowej — pozostawiając na uboczu drugą, tj. jej rolę biblioteki powszechnej, centrali i organizatorki sieci bibliotecznej na terenie miasta. Choć trudno powstrzymać się od podkreślenia, że ta właśnie jej działalność, mimo pewnych niedomagań wielu placówek sieci, spowodowanych różnego rodzaju przyczynami obiektywnymi, zasłużyła sobie na nagrodę konkursową w skali krajowej (1953 r.), a za granicą podawana jest niejednokrotnie za przykład wzorowej organizacji, że przystość choćby opinii wybitnego bibliotekarza Greenwaya, dyrektora Biblioteki Publicznej w Filadelfii, który dwukrotnie po wojnie zwiedzał biblioteki łódzkie oraz zdanie znakomitego znawcy przedmiotu Ranganathana w książce „The five laws of library science.”

Jak się wyżej powiedziało Biblioteka Waryńskiego uznana jest za bibliotekę naukową. Na czym polega jej „naukowość” i czy należyte spełnia zadania wynikające z tego właśnie charakteru? Pomijając niewątpliwie wielkie, pionierskie i postępowe jej tradycje z okresu poprzedniego, kiedy to była jedyną tego rodzaju placówką kulturalno-oświatową w Łodzi w ciągu całego ćwierćwiecza XX stulecia, zatrzymam się na jej pozycji obecnej. Chodzi o to, jakie miejsce zajmuje dzisiaj wśród bibliotek naukowych miasta, jak dalece je wspomaga, w jakim sensie z nimi współpracuje.

Legitymacją kwalifikującą bibliotekę do grupy bibliotek naukowych jest po pierwsze dobór jej księgozbioru, po drugie typ obsługiwanego klienta, co zresztą wiąże się ściśle ze sobą, jedno wynika z drugiego. Biblioteka Miejska im. Waryńskiego w Łodzi gromadzi od lat 40 książek typu naukowego i popularno-naukowego z różnych dziedzin wiedzy, zaspokajając się w nowości wydawniczej szczególnie aktualnych gałęzi życia. Zwalnia to inne biblioteki od kompletowania wydawnictw ważnych, lecz związanych bezpośrednio ze specjalizacją reprezentowanych przez nie uczelni. Tak np. Biblioteka Uniwersytecka nie kompletuje książek rolniczych, Biblioteka Politechniki Łódzkiej — tekstów literackich itd. Z racji swej długoletniej działalności Biblioteka Wa-

ryńskiego posiada też w swym księgozbiorze dokumentację druków łódzkich szereg czasopism łódzkich, rzadkie książki publikowane w Łodzi i o Łodzi, czego brak innym bibliotekom naukowym powstałym po wojnie. Dzięki temu zasobowi stała się Biblioteka Waryńskiego poważnym warsztatem pracy naukowej, znakomicie uzupełniającym braki bibliotek wyższych uczelni łódzkich. Toteż ogromny odsetek studentów i profesorów szkół akademickich korzysta dziś z jej zbiorów. Czytelnictwo w centrali Biblioteki Miejskiej osiągnęło w 1960 r. imponującą liczbę 78.000 odwiedzin i 152.000 użytkowanych książek. Nie bez pewnej zazdrości ci przytaczam te liczby, które mają swoją niedwuznaczną wymowę w zestawieniu z analogicznymi liczbami Biblioteki Uniwersyteckiej gdzie w roku 1960 notuje się 39.000 odwiedzin i 110.000 wypożyczonych tomów.

Lecz nie tylko zasobność i specyfika księgozbioru, nie tylko dogodniejsze do niedawna warunki pracy zdecydowały o tym, że wielu studentów i profesorów wolało korzystać z Biblioteki Miejskiej niż z własnego księgozbioru uczelnianego. Zadecydowała o tym sprawa obsługa czytelników, jakiej nie udało się osiągnąć żadnej innej bibliotece w Polsce. „W parę minut po zamówieniu mam książkę na stole” — powiedział mi kiedyś jeden ze studentów zapytany dlaczego korzysta z Biblioteki Miejskiej, a nie z Uniwersyteckiej. Jak doprowadził dyrektor Augustyniak do tego, że czas czekania na książkę waha się w jego bibliotece od 3 do 5 minut — pozostaje dla mnie tajemnicą. Jest jednak faktem świadczącym o dużym osiągnięciu organizacyjnym i bardzo nowoczesnym spełnianiu podstawowych zadań biblioteki.

Sprawnej obsłudze czytelnika nie przeszkadza widać, typ stosowanego tam katalogu kłamrowego, miast szufladkowego. Iż to wielkich bibliotek, poważnych i nowoczesnych posiada nie tylko kłamrowe, lecz bardziej staroświeckie katalogi książkowe, co nie przeszkadza im iść z postępem i przyciągać coraz szersze kręgi użytkowników. Niech tu przykładem będzie choćby British Museum w Londynie, gdzie zarządzenie do katalogu wymaga już nie tylko cierpliwości kartkowania wielkich ksiąg w obrębie jednej litery alfabetu, lecz także nie lada wysiłku fizycznego przy ściganu wielkiego, grubego tomu z półki na stół katalogowy.

Także troska o należyty poziom kadry bibliotekarskiej stanowi dziś pierwszoplanowe zadanie każdej biblioteki, warunkujące jej modernizację i rozwój całego zawodu. Otóż na tym polu dyrektor Augustyniak ma duże osiągnięcia. Rozumiejąc narastające potrzeby w tym zakresie już od pierwszych lat powojennych poświęcił sprawom kształcenia bibliotekarzy wiele starań i wysiłków. Sam, znakomity praktyk, jednocześnie przygotowywał teoretycznie (był asystentem przy katedrze bibliotekoznawstwa prof. Muszkowskiego na Uniwer-



Jerzy Walden i Zbigniew Nienacki w czasie próby „Termitierze”

Foto: G. Puciato

0 „Termitierze” czyli o ter-mitach mówi JERZY WALDEN

reżyser sztuki w Teatrze im. Jaracza

— Na wstępie powiedzmy, że „Termitiera” nam się podoba. Nam — to znaczy zespołowi aktorskiemu i mnie, reżyserowi. Dzięki temu pracujemy nad tą sztuką łódzkiego pisarza, Zbigniewa Nienackiego w tej szczególniej atmosferze porozumienia i zrozumienia, która pojawia się tylko wówczas, kiedy aktor wie, czego chce od niego reżyser, a wszyscy razem akceptują to, co powiedział autor. Ta akceptacja wpływa przede wszystkim stąd, że każdy chyba z nas znalazł w tej sztuce coś z własnych doznań, myśli, problemów. Mam nadzieję, że i publiczność, która od połowy marca, kiedy to odbędzie się prapremiera, zacznie oglądać „Termitierze” na scenie, znajdzie się w sytuacji analogicznej.

Na nasz wewnętrzny, warsztatowy użytek daliśmy sztuce tytuł: „Narodziny ter-mitu”. On od razu wyjaśnia i akcentuje, o co w tym utworze chodzi. Jest on opowieścią o narodzinach i śmierci mitu. Jakiego? Trudno powiedzieć. Każdy człowiek ma swój własny mit, zakrojony na własną miarę. Ma swojego termita. Ten właśnie kształt żarłocznego owada nadał mitowi Nienacki. Nie chodzi zresztą o formę metafory, ale o jej istotę, jej sens. Ponieważ, jak mówię, dla każdego ten sens jest inny, metafora okazuje się wieloznaczna.

— Czy metaforyczny charakter sztuki znalazł jakieś odbicie w Pana koncepcji reżyserskiej?

— Oczywiście. Moim zadaniem jest metaforę wydobyć, pokazać, ale jednocześnie oddać jej nieuchwytność i wieloznaczność. Dlatego, wbrew zwyczajowi, nie nadaję przedstawieniu konkretnego, sprecyzowanego kształtu, ale operuję

sugestią, propozycją. Postawienie kropki nad „i” należeć będzie do widza. W tym celu również, zwłaszcza w określonych momentach, nie pozwalam aktorom grać zbyt dosłownie. I jeszcze jedno. Zgodnie z zamysłem autora sztuki (a jest ona rodzajem tragifarsu), staram się ostro kontrastować momenty groteski i tragizmu. Te nagłe przejścia, a właściwie przerzuty decydują o tym, że przedstawienie nie będzie miało konsekwentnej formy. Choć konsekwencja jak i w innych sztukach nowoczesnych.

— Padło ważne słowo. Dla-

czego „Termitierze” uważa Pan za sztukę nowoczesną?

— Może najpierw należałoby ustalić, jakie są cechy nowoczesnego dramatu. Przede wszystkim do miana tego pretendują sztuki operujące metaforą i związaną z tym faktem specyficzną fakturą teatralną. W jej ramach nie mieszczą się właściwie autentyczne sytuacje, miłości się natomiast prawdziwej psychologicznej, polegającej na ciągłym mieszanu się ze sobą elementów groteskowych i tragicznych. Śmiech zamiera w przerażeniu i grozie. Ta ostatnia właściwość może najbardziej decyduje o nowoczesności sztuki. Stosowanie metafory jest ostatecznie raczej kwestią mody.

— Czy reżyserowanie sztuk współczesnych sprawia Panu satysfakcję?

— Najbardziej lubię reżyserować Szekspira, może właśnie dlatego, że jest taki nowoczesny. I lubię reżyserować sztuki nowoczesne, ale pod warunkiem, że ich nowoczesność polega na uduśnianiu, czyli nie jest formalna, ale autentyczna. Autentyczna zaś jest wówczas, kiedy autor ma coś do powiedzenia na temat współczesnego człowieka. Dlatego właśnie „Termitierze” uważam za sztukę nowoczesną.

Rozmawiała

KRYSZYNA WOJTASIK



Bohaterowie sztuki: Alicja Zomer i Bogusław Sochnacki

Foto: G. Puciato

poradzić biblioteki nie tylko u nas, lecz również na całym świecie. Dopóki bowiem pozycja bibliotekarza w społeczeństwie nie będzie należycie ustawiona, dopóki nieuregulowane pozostanie sprawa płac, dopóty musimy się liczyć z odpływem młodych, zdolnych ludzi do atrakcyjniejszych zawodów lub w najlepszym razie z przepływem ich do innych bibliotek w poszukiwaniu lepszych warunków bytowych. Ale czy zjawisko to obejmuje wyłącznie bibliotekarzy? Policzymy ilu profesorów opuściło Uniwersytet Łódzki dla stanowisk w Warszawie? Odpływ wykwalifikowanej kadry z Biblioteki Waryńskiego nie można izolować od ogólniejszych tendencji i doszukiwać się w niej jakichś szcze- gólnych warunków sprzyja-

jących ucieczce pracowników.

Poruszone tu wyrzykowo problemy wyjaśniają może niejako w toczącej się dyskusji. Aktywności i postępowości biblioteki nie można w naszych zwłaszcza warunkach mierzyć jej bazą materialną, ani taką czy inną formą organizacyjną. O ran- dzie i roli społecznej biblioteki świadczy jej promieniowanie w środowisku. Biblioteka Miejska w Łodzi, mimo wielkich trudności, z jakimi się boryka, spełnia w środo-

Plastyka na co dzień

Jak wiadomo przy Łódzkim Oddziale ZPAP działają dwie pracownie — Graficzna Pracownia Doświadczalna oraz Doświadczalna Pracownia Plastyczna. Dochód jaki przynoszą te placówki plenium zarządu postanowiło wykorzystać w sposób naprawdę pożyteczny. Otóż ostatnio podjęto uchwałę, w myśl której ponad 150 tysięcy złotych przeznaczono na zorganizowanie czterech rodzajów konkursów plastycznych.

Tak więc członkowie Sekcji Architektury Wnętrz pracować będą nad tzw. elementami wnętrza. Elementy wnętrza to po prostu... meble. A więc regał, biurko, tapczan. Jest publiczna tajemnica, że salony meblowe nie szczycą się specjalnie ładnymi egzemplarzami. Czy konkurs sytuację tę zmieni — nie wiadomo. W każdym bądź razie plastycy uczynią pierwszy krok w tym kierunku.

Sekcja Rzeźby wyjdzie na zewnątrz. Dosłownie. Rzeźbiarze bowiem pracować będą nad tzw. elementami miejskimi (studzienka, fontanna, rzeźba parkowa, słup ogłoszeniowy itp.). Tu wart jest odnotowania świetny pomysł plastyków. Otóż artyści projektują aby w nowych osiedlach nie numerować bloków (numeryacja ta jest zresztą jak wiadomo zawiła, tak że raczej utrudnia niż pomaga w znalezieniu właściwego adresu), lecz „przydzielić” im nazwy, na przykład „Dom pod Krasnoludkiem”, „Dom pod Papugą” itp. Jeśli projekt zyska uznanie władz rzeźbiarze opracują również owe „blokowe” insygnia.

Konkurs Sekcji Graficznej będzie natomiast konkursem o tematyce dowolnej, ale w tak zwanych technikach szlachetnych (drzeworyt, linoryt, akwaforta itp.). Prace z tego konkursu zasila klermasze „subskrypcji grafiki”.

No i wreszcie Sekcja Ma-

larska. Tu zarówno tematyka jak i technika są dowolne. Wymienione wyżej cztery konkursy rozstrzygnięte zostaną gdzieś w końcu września br. a w połowie października otwarta będzie w Ośrodku Propagandy Sztuki wielka wspólna wystawa. Związek Polskich Artystów Plastyków ma za miar podobne imprezy organizować co roku. Oczywiście, całe to przedsięwzięcie spełni swą rolę jedynie w wypadku, jeśli Rada Narodowa czy na przykład Związek Zawodowy inżynierów plastyków popiera. A wydaje się, że warto.

J. W.

wisku łódzkim, podobnie jak przed wojną, poważną rolę: aktywizuje czytelnictwo inteligencji łódzkiej na poziomie naukowym i naukowo-popularnym, podnosi kwalifikacje zawodowe kadry bibliotekarskiej, odpowiada bieżącym potrzebom użytkowników i stanowi znakomite uzupełnienie innych bibliotek na terenie miasta.

1) S.R. Ranganathan: The five laws of library science, Madras 1957.

Redaguje Zespół • Wydawca „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95. Tel. 34-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.— kwartalnie zł 12.— • Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17 • Zam. 738 t.i. A-5

ZAGADKA TYGODNIA

Dzisiaj zagadka literacka. Ponownie podajemy nazwiska pięciu pisarzy. Zadaniem czytelników będzie zdecydować, którzy z nich byli równocześnie mężami stanu.

- 1) Louis Aragon — tak — nie.
- 2) Johann Wolfgang Goethe — tak — nie.
- 3) Benjamin Disraeli — tak — nie.
- 4) Lucjan Rydel — tak — nie.
- 5) Tomasz Morus — tak — nie.

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96, „Odgłosy”.

Wśród czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.



Rozwiązanie z nr 5

A. Rimbaud — dziewiętnastowiec, L. Waryński — dwadzieścia wiek, S. Staszic — siedemnastowiec, W. A. Mozart — osiemnasty wiek. Nagrodę otrzymuje p. Jerzy Miciński, Pabianice, Żymierskiego 16.

HORACY SAFRIN

Z cyklu: Głupcy z Chelma



U RABINA

Rabin reb Zisel (daj nam takich, Boże!) miał wydać wyrok w chełmskich kupców sporze.

Pierwszy wszedł powód, mąż kramarki Jenty, i podał ważne skargi argumenty. Rabbi wysłuchał, potarł siwe skronie i rzecze: „Słuszność jest po twojej stronie.”

Potem pozwany wszedł, hurtownik Nuty, i po kolei zbliżył wszystkie zarzuty. Rabbi wysłuchał, potarł siwe skronie i rzecze: „Słuszność jest po twojej stronie.”

„Głupcze! — usłyszał z kuchni głos swej żony. — Jak mogą rację mieć obydwie strony?”

Reb Zisel spojrział, uśmiechnął się słodko: „I ty, pytając tak, masz rację, złotko!”

Ze zbioru „Głupcy z Głupska”, który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

wg Nadira

DWIE PRZYPowieści

O TALENCIE

Był sobie utalentowany poeta o bardzo pospolitej twarzy. Ten poeta, nazwijmy go Kajetanem, wybrał się pewnego wieczora do teatru.

A że ludzie pióra grzeszą na ogół naiwnością, tuszył, iż wizytówka ujawniająca członkostwo Związku Literatów utworuje mu drogę do sali widowiskowej.

Alé dyrektor administracyjny nie spojrział nawet na wizytówkę, zmierzzył natomiast podejrzliwym wzrokiem pospolite oblicze pisarza i zawyroko- wał bezapelacyjnie:

— Żaluję, lecz wszystkie bilety wyprzedane...

Nasz bohater, autor trzech tomów lirycznych wierszy, nie dał za wygraną. Nazajutrz wy-

brał się ponownie do teatru z tą samą wizytówką, na której dopisał: „Proszę uprzejmie umożliwić okazielem bezpłatne obejrzenie dzisiejszego spektaklu. Łączę koleżeńskie pozdrowienia — Kajetan Bożydar, literat”.

Tym razem dyrektor administracyjny przeczytał bardzo uważnie króciutki rękopis, po- biegł usłuźnie do kasy i z gestykulacją wytrawnego dyploma- ty usadowił okaziciela wizytówki w proscenicznej loży.

Moral: W świecie sztuki nie wystarczy sam talent. Trzeba jeszcze mieć niepospolitą twarz lub co najmniej poparcie ja- kieś znanej osobistości.

O WSTYDLIWOŚCI

Był przyzwoitym i skromnym człowiekiem.

A kiedy znalazł się na fron- cie, w ciągu długich miesięcy zabijał obcych, nieznanymi lu- dzi. Uśmiercał ich przy pomocy bagnetu, kul i ręcznych gra- natów.

Czy odczuwał wstyd? Nie, nie doznawał uczucia wstydu — choć zabijanych ludzi nie znał, ba, nigdy nie widział ich na oczy.

Alé pewnego dnia, gdy już miał na swoim koncie prawie dwa tuziny zabitych wrogów, ujrzał piękną dziewczynę, któ- ra stała opodal i darzyła go naj- słodszym uśmiechem.

Uśmiechnął się również. Byłby ją z całą pewnością po- calował, bardzo tego nawet pragnął, lecz wstydził się: w pobliżu stało kilku kolegów i przypatrywało się uśmiechnię- tej parze...

Moral: Miłości nie należy porównywać z zabijaniem ludzi. Uczeń miłosnych trzeba się wstydzić.



Łódzka opinia z lat międzywojennych, a przynaj- mniej ludźmi wrażliwymi na krzywdę, wstrząsnął list otwarty jednego z lekarzy łódzkich:

„Zostałem wezwany do 3-letniego chłopca, u któ- rego stwierdziłem gruźlicę płuc. Warunki mieszkaniowe — fatalne. W jednym małym i ciemnym pokoiku troje dorosłych osób i kilko- ro dzieci. Jedynym możli- wym ratunkiem dla chorego dziecka jest umieszczenie go w sanatorium, co jednocześnie uchroniłoby jego rodzeń- stwo od zarażenia się tą sa- mą chorobą.

Gdy oświadczyłem o tym matce dziecka i zarazem wy- razilem gotowość wystarania się o bezpłatne miejsce dla chorego w sanatorium, spotka- łem się ze stanowczym sprze- ciwem z jej strony. Okazało się, że całej rodzinie grozi w najbliższej przysz- łości eksmisja i że jedynym, co może uchronić przed tą ka- tastrofą jest obecność w mie- szkaniu chorego dziecka, gdyż obłożenie chorych eksmitować nie można.

Skapitulowałem przed tym argumentem — bo coż mo- głem zrobić? (Głos Poranny, nr 229, z dn. 29.X.1933).

Choroby, których źródłem była bieda i złe warunki mieszkaniowe rozpowszechni- ały się wskutek antyhygie- nicznych warunków pracy w fabrykach.

Główną chorobą, na którą zapadali robotnicy była gru- żlica dróg oddechowych. W Ło- dź, w l. 1926—27, ponad 57 proc. wszystkich wypadków zgonu z powodu gruźlicy, do- tyczyło robotników-włóknia- rzy.

Pewne wyobrażenie o wa-

runkach pracy mogą dać lu- stracje inspektorów fabrycz- nych.

W ciągu roku 1935, Inspek- torzy Pracy w Łodzi sporzą- dzili 1.145 zleceń, stwierdza- jących konieczność poprawy warunków higieniczno-sani- taryjnych w fabrykach. Na przemysł włókienniczy przy- padało 826 zleceń. Z tego 298 dotyczyło umywalni, których albo zupełnie brakowało, al- bo też było ich za mało w stosunku do liczby zatrudnio- nych robotników. Na ogół sprawa umywalni wyglądała lepiej w dużych fabrykach niż w małych. W wielkich fabrykach kierownictwo sa- mo bardziej dbało o to, aby praca była wykonana czysto. Za zabrudzenie przedzwy lub niedopiędę, za poplamienie

dzili 1.145 zleceń, stwierdza- jących konieczność poprawy warunków higieniczno-sani- taryjnych w fabrykach. Na przemysł włókienniczy przy- padało 826 zleceń. Z tego 298 dotyczyło umywalni, których albo zupełnie brakowało, al- bo też było ich za mało w stosunku do liczby zatrudnio- nych robotników. Na ogół sprawa umywalni wyglądała lepiej w dużych fabrykach niż w małych. W wielkich fabrykach kierownictwo sa- mo bardziej dbało o to, aby praca była wykonana czysto. Za zabrudzenie przedzwy lub niedopiędę, za poplamienie



tkanin stosowano kary, nie- kiedy, nawet pieniężne.

Podobnie źle przedstawia- ła się kwestia garderób dla robotnic. Nie było po prostu gdzie się przebrać. Między innymi dlatego właśnie robot- nice idąc do pracy okrywały

się chustkami, choć przede wszystkim grały tu rolę względy oszczędnościowe.

Zalecenia Inspektorów Pra- cy dotyczyły także wzmo- cnienia światła, przewietrza- nia i usuwania pyłu. W żad- nej łódzkiej fabryce nie było automatycznych wyciągów, które by odprowadzały kurz z hali fabrycznej.

Na trudności nie do prze- zwyciężenia napotykało usu- wanie pary w farbiarniach.

Badania przeprowadzone przez inspektora sanitarnego woj. łódzkiego, dr Lewego wykazały, że w fabrykach łódzkich lekceważono nawet najbardziej elementarne za- sadę higieny. Dr Lewy zbła- dał 13 wielkich zakładów, zatrudniających ponad 300 robotników, 18 — średnich 75—300 robotników i 12 ma- łych, zatrudniających mniej niż 75 robotników. We wszy- stkich tych zakładach bra-

Opiekę nad zdrowiem mieszkańców miasta sprawo- wali lekarze zatrudnieni przez Ubezpieczalnię Spo- łeczną, Magistrat i lekarze prywatni.

W pierwszych latach ist- nienia Kas Chorych, już po I wojnie światowej wszy- stkie większe fabryki posiada- ły swoje punkty, lekarskie. Po reformie Kas Chorych, u- stanowieniu Ubezpieczalni Społecznej punkty te zlikwi- dowano, a chory w razie po- trzeby udawali się do rejdno- wej przychodni. Ustawa sca- leniowa, likwidując dawne punkty lekarskie w fabry- kach, wprowadzała równo- cześnie opłaty za lekarstwa i świadczenia.

Łódzki świat pracy protes- tował w różny sposób prze- ciwko dokonywaniu maksy- malnych oszczędności przez Ubezpieczalnię.

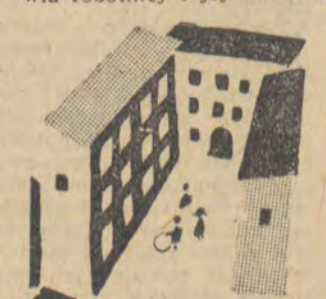
opieka nad pracującą ludno- ścią nie mogła przedstawiać się dobrze. Jest rzeczą zroz- umią, że bolączki łódzkiego lecnictwa odbijały się prze- de wszystkim na kobietach.

Na czoło zagadnień zwią- zanych ze zdrowiem pracują- cej kobiety wysuwała się sprawa chorób i dolegliwości, wynikających z ciąży i poło- gu. 40 proc. ubezpieczonych kobiet stanowiły w Łodzi włóknarki. W okresie przed i popołudniowym kobiety te pra- cowały ciężko. Fakt, że tylko 6,5 proc. rozwiązań odbywało się w klinikach, musiał wpły- wać ujemnie na stan zdro- wia matek. Około 90 proc. pólógów odbywało się w do- mu, w warunkach z reguły antyhygienicznych. Na uwagę zasługuje, że na 10 000 ży- wych urodzeń w l. 1930—31, przypada ok. 400 w każdym roku wypadków gorączki po- pólógowej. Świadczy to jesz- cze dodatkowo o złych wa- runkach zdrowotnych, w ja- kich przychodziły na świat dzieci robotnicze.

Pewną ilustracją sytuacji zdrowotnej może być wysoka śmiertelność niemowląt. Pod tym względem nie tylko na- sze miasto, ale cały kraj „przodował” w smutnej sta- tystyce.

Statystyki łódzkie wykazy- wały, że wzrost śmiertelności niemowląt miał charakter sezonowy. Nasilenie tego zja- wiska występowało w lecie, przede wszystkim na skutek antysanitarnej karmienia, sporządzania posiłków w ciasnym, przegrzanym, źle wietrzonem mieszkaniu.

Pomimo, że w Polsce mię- dzywojennej rozwój ustawa- dówstwa, chroniącego pracę kobiet na ogół nie pozostaw- wał w tyle za innymi kraja- mi kapitalistycznymi, to jed- nak w większości wypadków wskazania i przepisy, zaleca- jące stosowanie ochrony zdro- wia robotnicy i jej dziecka,



traciły znaczenie na skutek wielu czynników natury spo- łecznej i politycznej. Można powiedzieć — mieliśmy dość postępowe prawodawstwo i bardzo zacofaną praktykę.

- Bezradność lekarzy
- Co stwierdzali inspektorzy fabryczni
- Szpitale w czynszówkach
- Dosyć postępowe ustawodawstwo i zacofana praktyka.

W latach 1930-tych sied szpitalnictwa przedstawiała się w Łodzi następująco: —

Szpitałe:	— 1.005 łózek
Ubezpiec. Społ.	— 560 „
Psychiatr.	— 937 „
Społeczne	— 374 „
9 klinik prywatnych	— 460 „
	3.836 łózek

Ludność miasta wynosiła w r. 1933 ponad 630.000 osób, czyli na 1000 mieszkańców wypadło 6 łózek szpitalnych. Jako normę przyjmowało się 58 łózek na 1000 mieszkań- ców. Nie bez znaczenia był fakt, że system łódzkiego szpitalnictwa polegał na pro- wadzeniu małych szpitali, których pomieszczenia, naj- częściej domy czynszowe, nie miały nic wspólnego z celami, którym wypadło im słu- żyć.

Pomimo dużej niekiedy o- ścierności lekarzy łódzkich

informacje i zaczepki

W początkach marca cze- ka nas kolejny i bardzo ciekawy Festiwal Szkoły Filmowej. Na przelagadzie zobaczymy sporo etud o bardzo różnorodnym cha- rakterze od prób monta- żowych aż po film animo- wany.

Jeden z ostatnich nume- rów „Nowej Kultury” przyniósł (jak głosił na- druk) spis publikacji za rok 1961. Niestety, w łód- zkich kioskach wkładek tych nie ma. Chcieliśmy my wiedzieć czy zwinili tu Warszawa czy też Łódź „Ruch” zbagatelizował sprawę.

STS „Pstrąg” zdołano- wany posiadaniem nowej sali pracuje aż nad trzema programami. Pierwszy „Trzy salony” — tak sama nazwa mówi będzie prze- glądem poezji rewolucyj- nej, dwa następne „Honor Polaków” i „Kabaret pio- senki” mają charakter lże- szej. Premierę wkrótce.

Brak kultury zarzucił „Express” kibicom, którzy wyawizdali w Zakopanem polską zawodniczkę Biegu- rowną. Zgadamy się z tą opinią, ale przy okazji py- tamy — czy sporo winy nie ponosi tu — otaczająca za- wodników nimbem nieczy- ciełości — prasa sporto- wa? Sam „Express” pisał w swoim czasie: „Biegu- rowna klasa dla siebie”. No i co? Istotnie, tylko dla siebie — dla rywali klasa? A kibice mają prawo czuć się oszukani. Przez za- wodnika i prasę. Przez „Express” również.

Około 150 ton pleczywa znajdująca dzienne łodzenie.

„Odgłosy” ogładyły nie- dawno pewną wystawę fo- tograficzną. Zdjęcia piek- ne, wysoki poziom technicz- ny i artystyczny, tylko że nie znalazłyśmy w ogóle fotografii o tematyce łódzkiej. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że wystawa obrazowa- ła dorobek członków Związ- ku Polskich Artystów Fo- tografików z Oddziału... Łódzkiego.

Mania samoobsługi wkra- cza nawet do handlu gaze- tami. Ostatnio „Ruch” wprowadził ją w niekto- rych kioskach. Dokładnych danych o deficycie nie ma- my, ale też nie należy się go chyba spodziewać. Na- bywcę kontroluje kioskierz, którego ze sprzedawcy przekwalifikowano na „pi- nowacza”. Może dożyjemy czasów kiedy nikt nie bę- dzie pracował tylko wszy- scy wszystkich będą pilno- wali.



Druga strona pawilonu sprawozdawców radia i TV



Kamera z teleobiektywami przed Krokwią

TV wdeptano w śnieg

Telewizja polska dobrze zapisała się w pamięci swych odbiorców dzięki transmisjom z zawodów FIS w Zakopanem. Na gorąco realizowano tam kilka godzin programu dziennie. Składał się on, jak pamiętamy, nie tylko z transmisji żywych, ale i z reportaży filmowych — a to już nie tylko zdjęcia, ale laboratorium, montaż, zgrywanie komentarza, podkładanie muzyki. Z każdą czynnością związanym jest tysiąc kłopotów. Podczas transmisji na żywo, szczególnie tej ostatniej, kończącej mistrzostwa pod Krokwią, niesforna publiczność pozrywała kable łączące kamery z wozami transmisyjnymi. Straty były znaczne, obniżyla się też nieco jakość programu retransmitowanego na całą Europę. Obserwowaliśmy pracę ekipy telewizyjnej i trzeba przyznać, że dawno nie zdarzyło się nam oglądać grupy ludzi działają-

cej z takim samozaparciem, poświęceniem i w równie trudnych warunkach. Zdawać by się mogło, że już kto jak kto ale filmowi operatorzy TV będą dopuszczani wszędzie. Ostatecznie oko ich obiektywu, to oko miliona widzów w kraju i na świecie. Tymczasem walczyli oni z każdą kontrolą, z każdym posterunkiem porządkowym. Zdawałoby się, że wozy TV, kable, stanowiska kamer zostaną w należyty sposób zabezpieczone, tymczasem tłumy ludzi rozdeptywały kable, drapały się na dachy wozów stacji przekazywających program, telewizja obejmie cały świat — będzie mogła być odbierana w każdym punkcie kuli ziemskiej.

Obecnie telewizja kolorowa wychodzi właściwie dopiero poza granice laboratorium. W przyszłości, mniej więcej za 20 lat, w ZSRR będzie co najmniej 8-12 milionów odbiorników telewizji kolorowej.

Jest dużo do zrobienia

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi wystąpiło z projektem powołania koła przyjaciół telewizji. Propozycja ta powitana została z entuzjazmem przez naszą prasę. Bo łódzkiej telewizji potrzebne jest grono przyjaciół, jakkolwiek dotąd robiła ona wszystko, by mieć ich jak najwięcej. Przy łódzkim ośrodku TV istniało już kiedyś podobne do proponowanego stowarzyszenie widzów, i istnieć przestało. Na gruncie organizacji społecznej, jaką jest TPL, szanse istnienia i możliwości działania koła przyjaciół telewizji są zapewne większe. Cóż więc jest do zrobienia? Wiele. Od strony technicznej obniża się ostatnio jakość emitowanego programu, bo urządzenia są już stare, zasięg nadawania mały, trzeba myśleć o dofinansowaniu budowy nowego, wielkiego nadajnika i chyba również stacji radiowej UKF (razem to taniej kosztuje) w Żyrardowie. Trzeba więc mówić o powołaniu Społecznego Komitetu Budowy (czy rozbudowy) Telewizji w Łodzi, a zaczynamy będzie już koło przyjaciół telewizji, choć na pewno sprawa trzeba zainteresować województwo łódzkie. Od strony programowej też można działać wiele. Wbrew przy-

puszczeniu, a raczej niedobrym zwyczajom, Ośrodek Telewizyjny w Łodzi nie jest znów tak bardzo zależny od Warszawy. Ostatecznie zle audycje lokalne robimy sobie sami. Montowanie programu lokalnego też do nas należy. Koło przyjaciół, jego doradcy głos może mieć wpływ na inscenizację kierującą życiem kulturalnym miasta, a te z kolei mogą walczyć na szczeblu centralnym (... redakcji łódzkiej telewizji o większą liczbę godzin programu własnego, tak lokalnego jak i ogólnopolskiego, o większą samodzielność i większe dotacje finansowe. Łódź nie zawsze musi być kopcuszką i beztalentem. Łódź dotąd nie potrafiła się bić o właściwe miejsce, na antenie, pozwoliła się zepchnąć ze swym wielkim studium do służebnej roli awaryjnego ośrodka stolicy. Chcemy widzieć na małym ekranie łódzkie teatry, łódzkich aktorów, tak jak widzieliśmy w niedzielę aktorów i teatry Warszawy. Chcemy dobrego reportażu, cennej publicystyki, słowem, chcemy rozmachu, na jaki drugie po stolicy środowisko kulturalne i stolicy polskiego filmu — na pewno stać.

(mach)

Perspektywy rozwoju telewizji kolorowej w ZSRR

Kierownik moskiewskiego laboratorium telewizji kolorowej S. Nowakowski mówi o perspektywach telewizji kolorowej w ciągu najbliższych 20-30 lat stwierdza, że przekroczy ona w tym czasie granice państw i stanie się niejako międzynarodowa. W momencie, gdy w kosmosie umi szczono zostaną sputniki retransmitujące program, telewizja obejmie cały świat — będzie mogła być odbierana w każdym punkcie kuli ziemskiej.

Obecnie telewizja kolorowa wychodzi właściwie dopiero poza granice laboratorium. W przyszłości, mniej więcej za 20 lat, w ZSRR będzie co najmniej 8-12 milionów odbiorników telewizji kolorowej.

Udoskonalenie produkcji, automatyzacja, zastosowanie nowych schematów umożliwi produkowanie w roku 1980 doskonałych telewizorów charakteryzujących się olbrzymim ekranem o wymiarach 0,5-1 m. kw., małym ciężarem oraz

kształtem zbliżonym do dużego obrazu zawieszono na ścianie. Pojawiają się również lekkie telewizory przenośne, a nawet kieszone, zbliżone do obecnych radioodbiorników tranzystorowych. W tym czasie telewizory znajdować się będą w wagonach kolejowych, autobusach, samochodach, a może nawet w samolotach.

Polskie filmy rysunkowe dla TV

Po raz pierwszy nasi realizatorzy podejmują produkcję filmów rysunkowych dla telewizji. Najmniejsza nasza wytwórnia — Warszawskie Studio Miniatur Filmowych wyprodukuje w tym roku cykl 12 czarno-białych krótkometrażów, przeznaczonych dla najmłodszych widzów. Ich treścią będą przygody, jakie przeżywa we śnie kilkuletni bohater — Jacus. Filmy te będą mogły być także eksploatowane przez kina.



Prasa włoska przynosi zdjęcia popularnej piosenkarki Katyny Ranieri znanej i u nas z radiowych wykonan piosenek dziecięcych (a przynajmniej infantylizujących). Katyna Ranieri wystąpiła ostatnio przed kamerami włoskiej TV w repertuarze twistowym. Okazuje się, że rytym twista lepiej pasuje do piosenek aktorskich niż do tańca — oczywiście, gdy chcemy go tańczyć według twistowych prawideł. Włosi określają występ Katyny jako rewelacyjny. Wierzymy i czekamy na połączenie z Eurowizją również w dziedzinie wymiany programów rozrywkowych, nie tylko sportowych.



Pijanowski w natarciu:

Kiedy dzieci mają iść spać?

Niedawna rozmowa red. Lecha Pijanowskiego z cyklu „Porozmawiajmy” — przeprowadzona z kierowniczką programu dziecięcego i młodzieżowego TV red. Janiną Planerową — nie była może w ogólnym rachunku nazbyt budująca, czy radosna, ale dała przynajmniej pewien materiał do rozmyślań.

Obok dość już normalnych dla nas stwierdzeń kolejnego przedstawiciela TV w rodzaju „...trzeba będzie się postarać, żeby zapowiadając film na taśmie 16 mm., mieć w zapasie film na taśmie 35 mm i w wypadku awarii jednego z urządzeń telekina dać dzieciom coś zastępczego” — w które to obietnice nie za bardzo wierzymy (dowiedzieliśmy się natomiast, że i „Przygody sir Lancelota” i „Znak Zorro” zostaną powtórzone w paru seriach po dwie mniej więcej godziny każda) — padło bowiem kilka uwag ogólnych.

I tak zapowiadając na rok przysięgi wprowadzenie gdzieś zaraz po dzienniku, jakiegos „słowa na dobranoc” dla dzieci — czy to krótkiej bajki, czy piosenki, czy rysunku — red. Planerowa nie bez racji zauważyła, że z chwilą kiedy telewizja zegna dziecięcę i młodzieżowego odbiorcę, cała odpowiedzialność za dalsze oglądanie przez niego programy winna spadać już wyłącznie na rodziców. Jeżeli ukończoną przez dzieci audycja jest obok „Klubu myszki Miki” — właśnie „Kobra”, to chyba rzeczywiście winna tu nie tylko telewizja. I obok pretensji rodziców wobec autorów programu, trzeba wliczać rów-

nież pretensje autorów programu wobec rodziców.

Jest to bez wątpienia przekonywujące. Trudno przecieżyć dać się upuścić i ogłupić pozwalając, żeby program do dwunastej w nocy włącznie był przygotowywany pod kątem możliwości percepcyjnych siedmioletniego Jacusia; a niektórzy rodzice jakby tego wymagali. Tylko że trzeba im regularnie przypominać o niepedagogiczności takiego postępowania; przypominać i przekonywać. A tego z kolei telewizja jakoś nie robi...



Radziecka radiola „Białorus-110”. W Związku Radzieckim ukazała się w sprzedaży radiola w skład której wchodzi telewizor o przekątnej ekranu 17 cali, aparat radiowy z zakresem fal średnich, długich, 3 pasm fal krótkich i UKF, oraz gramofon o trzech standardowych szybkościach 78, 45 i 33 obroty na minutę. Radiola może być ustawiana na stoliku, bądź na specjalnych nóżkach, które są do nabycia w sklepach.



Popularna gwiazda telewizji brytyjskiej Sarbina, która zasłynęła tym, że mówiła widzom Albionu „Dobranoc” takim tonem, iż długo nie mogli zasnąć... wyszła ostatnio za mąż. Szczęśliwym wybraniem jest komik angielskiego filmu Sonny King. Oto w jaki sposób scharakteryzowała Sarbina swego męża wobec reporterów: Jest bardzo męski, do tego niegłupi, ale najważniejsze, że wszystkie jego swej są na mnie dobre... A Sonny King jest zdania, że nie jest dobrze, gdy gwiazdy telewizji za dużo mówią. Woli już owe kuszące „Dobranoc”!

PROGRAM na najbliższe dni

SOBOTA 10 BM.

CZWARTEK, 8 BM.

10.00 — Program dla szkół (kl. V-VII): język polski. Cykl: „Sylwetki wielkich ludzi”, temat: „W. Lenin” (W). 10.30 — Przerwa. 11.00 — Program dnia (L. lok.). 11.30 — „W stepie” (W). 11.50 — Przerwa. 12.00 — Program dnia (L. lok.). 12.30 — „Chłopiec z czarnego ładu” (W). 13.00 — Film fab. prod. angielskiej dla dzieci (W). 13.30 — „W środku Polski” (W). 14.00 — „Mag. aktualności ziemi” (W). 14.30 — „Na półkach księgarskich” (W). 15.00 — Telekonkurs dla szkół podstawowych (W). 15.10 — PKF (W). 15.20 — „3 milionów” (W). 15.30 — „Paragraf i fajka” — przed kamerami ogólnop., 15.55 — Koncert z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet (W). 16.00 — „Dziennik telewizyjny” (W). 16.30 — „Rybka dla Ryby” — program publicystyczny i Grzegorza Lasoty (W). 16.35 — Tadeusza Kościuskiego (W). 16.50 — „Mieć i nie mieć” — film fabularny prod. USA (dow. od lat 16) (W). 17.00 — „Zamknięte koło” wg J. B. Priestleya. Reżyseria — Jerzy Gruza (W). 17.15 — „Nie ruszajmy z posad” — Rozmowa o programie dla dzieci i młodzieży (W). 17.30 — Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK 9 BM.

16.45 — Program dnia i tygodnia (L. lok.). 17.20 — „Spojrzenia i opinie” (L. lok.). 17.50 — „Znak Zorro” — XV odc. 18.20 — „Wiosna, wiosna już” — widowisko estradowe (Kat.). 18.55 — Wszech-

odgłosu

str. 11

ODGŁOSY

tygodnia

8 MARCA -
ŚWIĘTO
HANDLU

MORFEUSZ W PREZYDIUM

Spontaniczną radość i podziw wywołał sen pewnego pana z racji niecodziennych okoliczności, które mu towarzyszyły. Udało mu się zasnąć w trakcie spotkania z jednym z wiceministrów. Odbiło się ono w auli uniwersyteckiej, a pan ów zasiadał w prezydium. Słuchacze - ludzie ciekawi, o czym świadczy choćby fakt, iż na spotkanie przyszli, nie mogli oderwać oczu od śpiącego. Mimo, że przeszkadzało to nieco w percepcji prelekcji, trudno się było widokowi oprzeć. Szczególnie gdy minister odwrócił się w stronę prezydium i owego pana - prosząc o wodę. Salabuchnęła śmiechem. Bledak obudził się i z przerażeniem ocenił sytuację. „Oto jak nas biednych ludzi rzeczywistość ze snu budzi” - można by zacytować Boga.

Siedział potem wielce skonfundowany i w charakterze widać ekspiacji za poprzedni wyciecz. zaczął słuchać z maksymalną uwagą i nawet notować. Wtedy ktoś rzekł półgłosem: „sen swój zapisuje, żeby sprawdzić w senniku”. Oczywiście znów „śmiesz na sali”. Minister słysząc go, odwraca się w stronę prezydium - czyżby pan znów zasnął? Ależ nie! Pan zrywa się przerażony - nie podobnego! Sala w śmiech...

Sytuacja była niecodzienna. Na rozmaitych konferencjach, gdzieś w środkowych i tylnych rzędach posypała nieraz ładnych parę osób. Ale ci z prezydium raczej się trzymają.

Z góry zastrzegamy - podajemy ten fakt, wyłącznie jako ciekawostkę, a nie w celu skrytykowania owego pana. Errare humanum est... A sen jest rzeczą ludzką. Morfeusz dopada zleniacka i podstępnie. Każdemu może się zdarzyć, że się nie oprze.

Nawet jeśli siedzi w prezydium.

NIE DAJMY SIĘ WĘGROM

Polak Węgier dwa bratanki. Nie przeszkadza to nam jednak rywalizować zawzięcie na zagranicznych rynkach o markę wielu typowych dla obu krajów wyrobów.

Rok ubiegły stworzył nam nowe możliwości eksportu artykułów, wśród nich po raz pierwszy gotowej odzieży. Czy okazje te potrafiłmy w pełni wykorzystać? Tegoroczny plan eksportu zakłada, że wartość produkcji przeznaczonej na zagraniczne rynki jest wyższa o 43 proc. od wartości produkcji wyeksportowanej w roku ubiegłym. Nie gwarantujemy nam to jednak, że w praktyce plan ten będzie w całości i korzystnie zrealizowany.

Zależy to w dużym stopniu od tego jaką będzie ta odzież. Polscy radcy handlowi za granicą życzą sobie aby było mniej powodów, niż w roku ubiegłym, do różnego rodzaju reklamacji spowodowanych albo niedotrzymaniem terminów dostaw albo też niezadowalającą jakością konfekcji.

Generalna poprawa jaką w

tym roku zapowiada przemysł bawełniany pozwala rokować pewne nadzieje. Planuje się zwiększenie rozmiarów produkcji dla kraju i zagranicy, odzieży „ekstra” o przeszło 10%, odzieży modelowej do 570 tys. sztuk wobec 375 tys. wyprodukowanych w roku ub., zwiększenie produkcji odzieży dziecięcej i młodzieżowej z 11,5 mln. sztuk do 12 milionów 220 tys. sztuk.

Pierwszym przeglądem tegorocznych możliwości przemysłu odzieżowego będą marcowe Targi Krajowe, na wielką skalę - Międzynarodowe Targi Poznańskie.

O imprezy te możemy być spokojni. Zorganizowane zostaną na „piątkę”, oby tylko potem, gdy przyjdzie do realizacji ewentualnych ofert konfekcji wyprodukowana w skali przemysłowej podobna była do owych pokazowych modeli.

Bo pokazywać to my potrafimy. Na co dzień jednak wciąż jeszcze nasza konfekcja schować się może przed węgierską.

PIENIĄDZE W ŚMIECIACH

W łódzkich śmieciach leżą pieniądze. W jednym tylko roku 1961 wydobyło z nich 125,3 miliona złotych. Ładny pieniądz prawda? Rzeczoznawcy z Centrali Odpadków Wtórnych nie są jednak zadowoleni. Twierdzą, że można byłoby jeszcze więcej makułatury, starych szmat, kości itp. odpadków surowcowych uzyskać dla wtórnej produkcji, gdyby...

Gdyby znalazły się w Łodzi lokale na organizowania nie w nich punktów skupu (jest ich zaledwie 36, podczas gdy np. taka Praga czeska liczy ponad 200 punktów skupu) - gdyby zbieracze mieli inne warunki pracy (nie są ubezpieczeni, nie korzystają z żadnych świadczeń socjalnych) - i gdyby jeszcze takich kilka „gdyby” przestało istnieć.

Tymczasem „gdybów” nie ubywa i coraz bardziej etatowa zbiórka odpadków su-

rowcowych leży na buzi. W tak olbrzymim mieście jakim jest Łódź zbiornictwem zajmują się zaledwie 200 osób, mimo, że umożliwienie ludzkości tego rodzaju pracy bardzo by się Łodzi z wielu względów przydało. Jak sobie radzi Centralna Zbiornica? Przy pomocy „mrówek” czyli - łódzkiej szkolnej.

Nie mamy nic przeciwko temu, żeby młodzież uczyła się oszczędzania w formie ogólnie dotąd przyjętej tj. aby niepotrzebną w domu makułaturę odnosiła do szkolnych punktów skupu. Ale kilka razy do roku a nawet na kilka dni przed końcoworocznymi egzaminami (tak jak to było w r. ub.) wyprowadzać do bractwo ze szkół i pędzić po podwórkach - to już chyba lekka przesada.

Jak długo jeszcze będziemy w podobny sposób latać rozlatujące się nam z różnych powodów akcje?

Sklepy SAM mają m. in. usprawnić obsługę klientów. Mają umożliwić personelowi sprzedaż w tym samym czasie i w tym samym pomieszczeniu większej ilości towarów.

Tymczasem w wielu sklepach SAM, uruchomionych w nieodpowiednich warunkach lokalowych, obroty nie tylko nie podniosły się lecz spadły. Rzecz zrozumiała, że przywrócić się w nich normalną sprzedaż.

Ktoś tam w handlu zainkasował nagrody za organizację dużych sklepów SAM, a że nie spełniają one swojej roli, to... już niech się klienci martwią.

KRÓLOWE BAWEŁNY

Cóż to był za widok! Poważni panowie z dyr. nac. Wzięli na czele wkraczający na salę, obładowani tortami, ciastkami, tackami, szklanami... A wszyscy mili, uśmiechnięci, a każdy z kwiatkiem dla swojej bogini.

Tym razem bogini było mnóstwo. Ba, i to jakie mnóstwo, jeśli się weźmie pod uwagę, że w przemyśle bawełnianym pracuje 150 tys. osób, że 70 proc. z tego to właśnie kobiety i, że Łódź, jak wiadomo, jest stolicą polskiej bawełny.

Mimo to bawełniane Święto Kobiet udało się jak nigdy. Były i drobne podarunki i premie dla wyróżniających się w pracy społecznej kobiet i wreszcie ogólna zabawa pod hasłem „Wszystko dla Ewy”. Łódzkie włókienniki mogą być zadowolone, zaś panowie... bracia przykład z płci męskiej Zjednoczenia „Bawełny”.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobyliński

Najbardziej kasowym filmem ubiegłego roku okazała się w Łodzi „Wojna i pokój”. Następne po niej miejsce zajmuje ostatni film Gary'ego Coopera „Vera Cruz”. Pierwszy z filmów oglądało 90 tysięcy widzów, zaś drugi - 102 tysiące. Niezgodności wpływów kasowych i ilości widzów wynikają z różnych cen biletów.

Rekordy frekwencji pobili jednak inny film, trzeci z kolei pod względem kasowości, mianowicie „Dama kamelionowa” z Gretą Garbo, którą zechciało podziwiać ponad 150 tysięcy osób.

Z filmów polskich „Mąż swojej żony” miał 84 tysiące widzów, „Krzyżacy” - 54 tysiące (grany był dość długo

REKORDY POPULARNOŚCI

wa” z Gretą Garbo, którą zechciało podziwiać ponad 150 tysięcy osób.

Z filmów polskich „Mąż swojej żony” miał 84 tysiące widzów, „Krzyżacy” - 54 tysiące (grany był dość długo

jeszcze w roku 1960, kiedy był wszelkie rekordy frekwencji).

Trzeci z filmów polskich (54 tysiące widzów), to „Matka Joanna od Aniołów”. Ten fakt wystawia publiczność łódzkiej dość pochlebne świadectwo, bowiem „Matka Joanna” była, jak wiemy, filmem z kategorii trudnych. Do popularności „Matki Joanny” przyczyniła się bez wątpienia antyreklama ze strony czynników kościelnych, co może stanowić ciekawą przyczynę do problemu pt. „metody i skutki”.

OPINIA I... CO?

Wszyscy prócz projektantów byli przeciwi, ale rzecz i tak przeszła. Dwumiesięczne opłaty za światło i gaz stają się ciążym. Inkasenci chodzą już po domach informując mieszkańców, że następnym razem

przyjdą za dwa miesiące „proszę odłożyć pieniądze” itp.

Cała historia zaczęła się jakieś trzy miesiące temu. Poproszono dziennikarzy do Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto, gdzie dyrektor tej instytucji i współkierownicy opisali szczegółowo wszystkie zalety nowego systemu: oszczędności wynikające ze zmniejszenia etatów inkasentów i przesunięcia ich (etatów nie inkasentów) do innych działów, wygoda dla placących „zamiast co miesiąc ich niepokoić, będziemy co dwa” itp. itp. Placacy wola jednak, aby ich niepokoić co miesiąc i na pytanie dwu łódzkich pisarzy w tym względzie, zdecydowanie odpowiedzieli „nie”. Mało tego, błyskawiczne ankiety przeprowadzone przez „Głos” w kilku dużych zakładach, wykazały, iż wszyscy pracownicy są przeciwnikami nowego systemu i ostro przeciw niemu protestują. Odkładanie z miesiąca na miesiąc należności za światło i gaz ludziom nie odpowiada! Zakładowi Energetycznemu - tak. Skonfundowany nieco sprzeciwem opóźnił wprawdzie o miesiąc czy więcej realizację pomysłu, ale żeń nie zrezygnował.

Oto z rannym braskiem pacjenci, zanim otrzymają na powrót swoje odzienie, muszą wysłuchać 10-minutowej pogadanki o skutkach picia alkoholu. Słowa płyną z głośnika, wmontowanego tak, by dla pacjentów był niedosłyszany. Obawiano się bowiem gwałtownych reakcji.

Obawy jednak okazały się ponne. Skruszeni pensjonariusze, którzy - jak należy przypuszczać - każdego ranka postanawiają sobie zacząć nowe życie, o tej porze słuchają chętnie pouczających pogadań.

Rozumiemy oczywiście dobre intencje Zakładu i argumenty „za” nie wydają nam się wcale głupie. Nieusprawiedliwia to jednak zupełnego niezliczenia się z opinią publiczną i

obchodzenia jej - podstępem. Nie wyjaśniono publicznie sprawy, po pierwszej konferencji nie zwołano już prasy, która „nie poparła”. Dwumiesięczne opłaty wprowadza się po cichu, chyłkiem. Opinia? Może nie zauważy...

PRZESUNIĘCIE KŁOPOTÓW

„Dziś nie wystarczy klientowi pokazać radioodbiornik pralkę, rower oraz niektóre inne artykuły przemysłowe. Wyroby te muszą przyciągać klienta swoim wyglądem, dobrą jakością i nowymi rozwiązaniami technicznymi” - tyle o kłopotach handlu i przemysłu, które narastają w miarę pełniejszego zaspokajania ludzkich potrzeb, powiedział mgr. Kruczkowski kierownik wydziału handlu RN m. Łodzi.

Od siebie dodamy, że jesteśmy zadowoleni, że przy zakupie coraz to nowych rodzajów różnych wyrobów kłopoty konsumenta, z wolna lecz stale, zamieniają się w kłopoty handlu i przemysłu. Takie „przesunięcie” kłopotów wychodzi tylko na dobre klientom.